Nr. 16. Poznań, niedziela 19-go kwietnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Administracya pisma naszego znajduje się obecnie na ul. Wilhelmowskiej nr. 28 (Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego) i otwarta jest codziennie (z wyjątkiem niedziel i świąt).

W sprawie zlotu wszechsokolskiego w Poznaniu.

Z powodu zlotu wszechsokolskiego, mającego się odbyć na poznańskim gruncie, i towarzyszących mu prac przygotowawczych, zebrań, polemik, projektów, odezwały się w prasie naszej kilkakrotnie głosy niewłaściwe, rzucające fałszywe światło na dążenia i prace polskich towarzystw gimnastycznych. Są tam jakieś mętne aluzye do społeczno-politycznej roli „Sokoła“, — jakieś wywieszanie chorągwi ruchu ludowego, — jakieś niepokoje o „przyszłość warstw średnich“ (!) i dolę „wszystkich Towarzystw polskich“ (!), jeżeli w zlocie „coś zaskrzypi lub pęknie“ — jast wreszcie jakiś strach dziwaczny przed demonstracyami, niepogodą polityczną i kosztownemi rozmiarami igrzysk sokolskich. Wszystko to jest nieco mgliste i niedomówione, lecz właśnie temi półsłówkami i ogólnikami rozsiewa prasa na zewnątrz i na wewnątrz błędne opinie o ideałach i celach „Sokoła“ poznańskiego, trwożąc zupełnie niepotrzebnie swoich i cudzych ludzi, oraz wynosząc sztucznie zwyczajne towarzystwo gimnastyczne do wyżyn potężnych czynników społecznych.

Na szczęście w opinii publicznej pojęcia takie nie mają wysokiego kursu, — wierni jednak zasadzie *„principiis obsta“* poczuwamy się do obowiązku zaprotestować stanowczo przeciw prasowym barwikom, fałszującym prawdziwe oblicze „Sokoła“ poznańskiego przed trybunałem polskiej i niemieckiej kontroli. „Sokół“ nasz jest i pozostanie tylko towarzystwem gimnastycznem. W całej jego działalności nie ma ani jednego momentu, któryby usprawiedliwiał mniemamanie, że ruch sokolski płynie politycznem korytem lub hołduje tendencyom demonstracyjnym. Jest on tylko o tyle politycznym, o ile jest polskim, demonstruje jedynie o tyle, o ile nie zapiera się nigdzie barwy narodowej i na wzór innych poznańskich towarzystw pielęgnuje język, pieśni i pamiątki polskie. Wydział związku sokolskiego w tym właśnie względzie pełni straż czujną i gdziekolwiek pojawić by się miały zakusy, by wypaczyć powyżej określony charakter, tam natychmiast rozkaz zarządu sparaliżowałby niefortunne zabiegi. I w tej kontroli generalnego zarządu tkwi właśnie doniosłość idei związkowej. Żadnemu gniazdu nie wolno zbaczać z wytkniętej drogi, w całej sieci towarzystw sokolskich jest pewna jednolitość działania, wszelki separatyzm znajduje skuteczne tamy i hamulce, — jednem słowem organizacya związkowa stanowi niewątpliwą gwarancyę, że każda z drużyn sokolskich podąży przepisanym gościńcem. nie pozbawionym wprawdzie nigdy charakteru narodowego, lecz dalekim od ścieżek polityki demonstracyjnej lub manewrów partyjnych zabiegów.

Nie przeczymy bynajmniej, że charakter gimnastyki naszych „Sokołów“ tu i owdzie wykazuje braki dotkliwe, tak pod względem rutyny fachowej jak zapału dla ćwiczeń fizycznych, — w tym kierunku jednak zarząd związkowy w ostatnich latach rozwinął nader energiczną działalność, a zlot sierpniowy w Poznaniu przyczyni się niewątpliwie do spotęgowania ruchu gimnastycznego, ktory dziś jeszcze tak niekorzystnie odbija od świetnego rozwoju niemieckich „Turnvereinów“. „Sokół“ pragnie współzawodniczyć z „Turnerami“, a w tej humanitarnej emulacyi chyba najzaciętszy szowinista Bismarckowskiej szkoły nie znajdzie motywu do legend o „polskiej agitacyi“ i krzyżackich okrzyków na temat „Ausrotten“.

Rozwojowi gimnastyki w Sokolstwie naszem służyć ma zlot poznański i dla tego charakter jego będzie czysto fachowy, a przynajmniej więcej fachowy niż towarzyski. Z takiego założenia jednak wypływają owe „kosztowne“ (?!) plany, które w dziennikach i dyskusyach publicznych zgotowały kierownikom niesłuszne inkryminacye i nauki na temat skromności, oszczędności itp. W głośnym tym gwarze polemicznym odgrywały niewątpliwie pewną rolę osobiste niechęci i koteryjne uprzedzenia, głównem ich źródłem jednak jest brak znajomości rzeczy i właściwa społeczeństwu naszemu pohopność do wydawania powierzchownych sądów.

Z planów dotychczasowych, w których redakcya nasza sumiennie się rozpatrzyła. uderza tendencya usunięcia wszystkiego, co wykracza po za linie niezbędnej potrzeby i granicy z pojęciem przepychu lub zbytku. Jeżeli zaś zlot wszechsokolski w Poznaniu większych wymaga ofiar niż zlot inowrocławski, to przyczyna tkwi z jednej strony w warunkach lokalnych, a z drugiej strony w owej tendencyi przyświecającej kierownikom. aby rozmiarami ćwiczeń gimnastycznych rozbudzić w całem społeczeństwie zapał do energicznej i czynnej pracy nad rozwojem zdrowia i siły fizycznej. Trybuny, szatnie, boisko, kapele — wszystko to pojawiało się na ustach naszych trzeźwych społeczników z stałym akompaniamentem frazesu. że biedny „Sokół“ poznański „czwórką ujeżdża po kraju“, a jednak trochę nieuprzedzonej i ścisłej krytyki, trochę znajomości rzeczy rozwiałoby w mgnieniu oka te naiwne deklamacye na temat oszczędności, które u niektorych dziennikarzy stały się sportem i manją chorobliwą. Zlot wszechsokolski bez niezbędnych do ćwiczeń budynków, bez wielkiego boiska i kwater byłby niewątpliwie tańszym, ale nie różniłby się w niczem od pospolitych majówek sokolskich lub zlotów żupowych.

Igrzyska sierpniowe mają być generalnym przeglądem sił dotychczasowych, obrachunkiem wad i przymiotów, potężnym bodźcem do rozwoju gimnastyki i w tym celu muszą mieć charakter odrębny i rozmiary szersze niż zwykłe zabawy sokolskie i zloty okręgowe. Tylko uprzedzenie może w takiem pojęciu dopatrzeć się „ujeżdżania czwórką po kraju“, a ktokolwiek zajrzy do bilansu zlotów galicyjskich i porówna je z preliminarzem poznańskiego Sokoła, ten chyba ze smutkiem oświadczy, że biedny Poznań zaledwie biedą jedzie na egzamin Sokolstwa.

Wszelkie zatem utyskiwania na rzekomą „wielkopańskość“ kierowników zlotowych, pozbawione są najmniejszych podstaw realnych. Programowem dążeniem komisyi obradujących jest unikanie wszystkiego, co zakrawać by mogło na blichtr demonstracyjny, i położenie całego nacisku na fachowy charakter popisów. Temu celowi służyć będą narady nauczycieli gimnastycznych, ćwiczenia

na boisku i pochód w szeregach, jako integralna część gimnastyki, — jednem słowem, prócz kilku nieodłącznych momentów towarzyskich, zlot poznański będzie wielkim zbiornikiem zawodowej pracy.

Z przykrością niestety zaznaczyć wypada, że w tak poważnej chwili w „Sokole“ poznańskim odezwały się zgrzyty osobistych niechęci i uprzedzeń, tamujące spokojny rozwój prac przygotowawczych i zniechęcające wielu zdolnych i energicznych kierowników zlotu. Dysonanse te pojawiły się także w prasie poznańskiej, która — i to jest najsmutniejsze — zamiast w krytycznej chwili uspokajać rozjątrzone umysły, dolewała oliwy do ognia. U nas niestety ludzie mają pełne usta wielkich słów i wielkich haseł obywatelskich, lecz w praktyce zaledwie ten i ów podporządkuje osobiste ambicye i niechęci dobru publicznemu. Dla tego wszystko u nas idzie oporem, praca zawsze się haczy a często w piasku ugrzęźnie.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Jubileusz „Orędownika. W „Gazecie Opolskiej“ czytamy:

„Zasady „Orędownika“ uważamy za szczere, pracę za dążącą do uczciwego celu, więc w uroczystej chwili jubileuszowej nie wahamy się tych naszych zapatrywań wypowiedzieć, co uważamy za tem więcej uzasadnione, iż „Oręd.“ jest czytywany na G. Szlązku w inteligentniejszych kołach świeckich i duchownych, pracujących nad rozbudzeniem ludu polskiego i wytworzeniem zdrowej inteligencyi. Choć więc nie wątpimy, że, jak każdemu, tak i Redakcyi „Oręd.“ niejednokrotnie w tym lub owym względzie pośliznąć się mogła noga, bo, jak sam pisze w jubileuszowem numerze „Redaktor dzień po dniu musi służbę pełnić, musi każdej chwili stojąco, na poczekaniu się decydować i pisać, a co już raz drukiem w świat wyśle, tego niczem, żadnemi sprostowaniami nie cofnie“, — to przecież podzielamy w zupełności zdanie bytomskiego „Katolika“, który pisze, że „jeżeli lud polski w znacznej części dziś żyje prawdziwie, bo czuje się prawdziwym Polakiem i obywatelem, potrafi sam swojej sprawy bronić i naprzód ją poznawać, to wielka w tem zasługa „Orędownika“.“

* * *

Nagrobek dla „Kuryera Górnoszlązkiego“: W sprawie zwiniętego organu górnoszlązkich księży — germanizatorów tak pisze bytomski „Katolik“:

„Kuryer Górnoszlązki“ pożegnał się w ostatnim numerze ze swoimi czytelnikami. Pisze, że doznał wiele smutku, ale też wiele miłości i pociechy. Walczył „Kuryer“ mężnie o to, — tak pisze — „że między ludem przewodnictwo w sprawach religijno-politycznych należy się Duchowieństwu. Lud powinien się trzymać „urodzonych przewodników i wspólnego sztandaru katolickiego. Wszelkie inne dążenia szczepowe, językowe itd. doznają pod tym sztandarem najlepszej, a można powiedzieć jedynie bezpiecznej obrony“. Tak głosi „Kuryer“ i składa dowód, że schodzi do grobu z tem mylnem przekonaniem, z jakiem życie rozpoczął. Mianowicie wychodził on zawsze z założenia, jakoby gazety i ich świeccy redaktorowie chcieli odebrać księżom przewodnictwo ludu i jakoby jedynie duchowieństwo miało prawo do tegoż przewodnictwa. „Katolik zawsze zwracał „Kuryerowi“ uwagę, że w sprawach religijnych i kościelno-politycznych wszyscy przewodnictwo księży bez oporu uznajemy; zaś w sprawach społeczno-politycznych i narodowych, księży od przewodnictwa nie usuwając, żądamy, ażeby księża na zdanie świeckich a mianowicie na zdanie ludu zważali, jak się należy. Albowiem polityczne sprawy są sprawami ludzkiemi a przeto niedoskonałemi. Każdy się w nich mylić może, tak duchowny, jak świecki. W tych też czysto świeckich sprawach ma prawo brać udział w przewodnictwie **każdy** tak duchowny, jak świecki, kto ma rozum i serce na swojem miejscu. Takim przewodnikiem politycznym, nikt się nie rodzi, lecz musi sobie to stanowisko **zdobyć** rozumem, pracą i poświęceniem.

* * *

Germanizacya przez kościół. Jak wiadomo odrzuciła władza biskupia w Pelplinie petycyę gdańskich Polaków o udzielanie dzieciom polskim nauki religii w języku ojczystym. Sprawie tej poświęca „Gazeta Toruńska“ następujące uwagi:

„Najbardziej już nie powiem boli, lecz oburza:

1) to skazanie dzieci polskich na dyskrecyę, na łaskę i niełaskę księży gemanizatorów;

2) targnięcie się na nietykalne **przyrodzone prawo** nad dziećmi, rodziców, którzy ostatecznie rozstrzygają, w jakim języku mają ich dzieci być przygotowane do Sakramentów św., na prawo, którego kościół tak skrupulatnie przestrzega, że nie pozwala nawet chrzcić dzieci bez woli rodziców;

3) pismo ono jest wyparciem się i wypoliczkowaniem tylokrotnie przez katolickie centrum i walne wiece kat. wypowiadanej zasady, że nauka religii nawet w szkole tylko w języku ojczystym dzieciom powinna być udzielaną. Język ojczysty przez obcy nigdy, przenigdy nie może być zastąpiony! Przy jego pomocy rozum się najlepiej oświeci, serce rozgrzeje i prawdy wieczne rozpozna i pokocha. Prawdy tej żadnemi kpinkami i sofistycznemi łamańcami nikt obalić nie zdoła.

Kwintensencyą całego pisma to rozgrzeszenie dla wszystkich germanizatorów, to uznanie dla nich za przeszłość i potwierdzenie na przyszłość.“

— ski.

O Stańczykach.

(Wyjątek z 2-go tomu dzieła K. Bartoszewicza o „Rzeczy“ p. Koźmiana).

III.

(Ciąg dalszy).

(Rezolucya. Stańczyków nie ma jeszcze po napisaniu Teki Stańczyka. Ich autokrytyka).

W rok po uchwale 2-go marca obradował sejm nad głośną rezolucyą, spowodowaną ogłoszeniem t. zw. konstytucyi grudniowej (1867) a przebieg obrad tych przekonywa nas, że nietylko grono krakowskie niczem jeszcze nie było, ale samo nie wiedziało do czego dąży, nie miało żadnego

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy).

— Jeżeli pani ciekawa, to ja powiem. Przyczyną mego doskonałego humoru był ktoś, kto siedział naprzeciwko.

— Pan Józef?

— Nie.

— Pan Szeląg?

— Nie, ani Pan Józef, ani pan Szeląg, ale osoba co siedziała między Józefem a Szelągiem.

Chwila milczenia; poczem Anusia powiada ciszej:

— Nie wiem, nie pamiętam kto to.

Że Anulka ma oczy spuszczone, o tem słuchająca pode drzwiami pani Borajska zgoła nie wątpi.

Głos Dynieckiego przerywa znowu ciszę:

— Owa osóbka ma bardzo dźwięczne imię. Zgadnij pani, jak ją nazywają.

— Ja nie umiem zgadywać.

— Nazywają ją Anulką; pani może jej nie zna?

— Nie, nie znam.

— Szkoda, prawdziwa szkoda. Ja miałbym jej tyle do powiedzenia... oj, tyle. Niestety — (westchnienie) — sam nie mam odwagi, a pani jej nie znasz.

Ponowna chwila milczenia; poczem Anulka:

— E, panie Dyniecki, ja się na pana gniewam.

— Czy może za tę nieznajomą?

— Nie, za mego brata....

— A mianowicie?

— Czy pan wiesz, że Lola i Franuś nie są już narzeczonymi. Zwrócili sobie pierścionki.

— Proszę!... tak energicznie.

— A tak, i pan tu głównie zawinił.

— Mocno żałuję, słowo honoru, że żałuję. A jednak kto wie, czy złe nie dałoby się jeszcze naprawić.

— Byłoby to nawet pańskim obowiązkiem.

— Sądzi pani.

— Pewnie.

— O, to ja gotów jestem uczynić wszystko, co będzie w mojej mocy. Chodzi tylko o to, żeby mi panna Anna pomogła.

— W jaki sposób?

— Bardzo prosty. Zaraz pani powiem —

Nastaje krótkie milczenie, podczas którego Dyniecki namyśla się zapewne, a Marcysia Borajska zmienia prawe ucho na lewe.

— Nazywają mnie niektórzy lampartem — rozpoczyna Dyniecki poważnie. — Być może, że mają potrosze słuszność; jednakowoż ja mogę wiele powiedzieć na moje uniewinnienie. Ze lubię się bawić, to prawda; nie przeczę, że umiem zabawić, to koniec końców nie jest jeszcze grzechem. Bo cóż ja ostatecznie winien, że rozbawione kobiety lgną do mnie, jak muchy do miodu i najczęściej nieproszone, prawią mi czułości. Jestem może trochę za miękki, unoszę się czasem zanadto i to moja jedyna wina. Lecz człowiek, którego kobiety kochają, staje się z czasem wybredny i właśnie myśli o takich tylko, które zamiast narzucać się, same się szukać każą. Tak właśnie dzieje się ze mną. Już niejedna z kobiet prawiła mi niestworzone rzeczy: że mam ładne oczy, nos i Bóg wie co jeszcze — jedno tylko dziewczątko, dziewczątko skromne i piękne, nie powiedziało mi dotyczczas nic takiego, chociaż wzrok jej mówi najwymowniej, że mię kocha i dlatego panienka ta podobała mi się więcej, niż wszystkie znane mi dotąd kobiety. Zowie się Anulka.... ta właśnie Anulka której pani nie zna....

Poruszenie i szept:

— Panie Dyniecki....

— Panno Anulko, powiedz mi, czy mi sprzyjasz, czy jesteś mi wzajemną?...

Ponowny szept:

— Panie Dyniecki....

— Więc kochasz mię Anulko moja?...

Jeszcze cichszy szept:

— Ach tak....

— Bardzo?

Jest to chwila, w której piękny młodzieniec, dojrzawszy zdradziecką muchę na policzku zapłonionego, bezsilnego dziewczęcia, musi ją ustami przybić; musi zgnieść tę muchę przeklętą. Jest on biegłym w swoim

programu, planu i łączności, bo każdy z jego członków prowadził politykę na swoją rękę. Lubo miałbym wielką ochotę skreślić na podstawie sprawozdań sejmowych obrady nad tą rezolucyą i nad połączonem z nią organicznie adresem, ażeby więcej uwypuklić bezradność i wszelki brak programu tych, co to niby wynaleźli „drogę kompromisową“, nie czynię tego jedynie ze względu, ażeby nie rozszerzać i tak już za obszernych ram mojej pracy. Wspomnę tylko pokrótce, iż w adresie do cesarza zaznaczonem było, iż Galicya jest „częścią dawnego udzielnego państwa“, że ustawy zasadnicze z 21 grudnia 1867 nie uwzględniły jej indywidualności, że „domaga się“ ona szerokiego samorządu. W samej rezolucyi poddano ostrej krytyce ustawy z 21 grudnia jako „nieodpowiadające nadziejom ani warunkom rozwoju narodowego“, jako „ubliżające historyczno-narodowej indywidualności“, a ztąd rodzące „powszechne niezadowolenie i zwątpienie“. „Dłuższe trwanie takiego stanu — mówiła rezolucya — zgubnie oddziała na pomyślność kraju i dobro państwa“, a chcąc temu zapobiedz, należy przyznać Galicyi samorząd narodowy. Nie ma być żadnych wyborów bezpośrednich, delegacye mają brać tylko udział w sprawach wspólnych monarchii, a do sejmu należeć powinny: ustawodawstwo przemysłowe, bankowe, sanitarne, sprawy wychowania, organizacya władz sądowych i administracyjnych, ustawodawstwo w prawie karnem i cywilnem i t. d. Dalej rezolucya żądała, aby rząd wydzielił z funduszów państwa sumę na pokrycie wydatków administracyjnych, wyznaniowych, oświaty itd., aby dobra kameralne przeszły na własność kraju, aby żup solnych nie wolno było obciążać ani sprzedawać, aby znajdował się w kraju najwyższy sąd kasacyjny, aby utworzono odrębny zarząd prowincyą pod naczelnictwem kanclerza, odpowiedzialnego przed sejmem i t. d. Kiedy widzimy, jakie to wówczas Galicya miała wymagania, a na czem poprzestała, trudno powstrzymać się od pisania satyry!

Sprawozdawcą i obrońcą rezolucyi był Grocholski. Przemawiali za nią ciągle Zyblikiewicz, Chrzanowski i dwa razy Szujski. Ten ostatni już poprzednio przy dyskusyi nad adresem pokazał się czerwieńszym od wszystkich, bo postawił wniosek, aby do słów: „chcemy Austryą widzieć potężną i kwitnąc“ dodać jeszcze: „i wolną“. Adam Potocki i L. Wodzicki byli za uszczupleniem rezolucyi, lubo i to uszczuplenie stawiało bardzo szerokie żądania[1]) Sanguszko był przeciwnym wogóle rezolucyi, gdyż ona wieńczyła dzieło 2-go marca, któremu „wszystko mamy zawdzięczyć, bo nawet zapowiedziany przyjazd cesarza do Galicyi“. I rzeczywiście tylko kilka dni oddzielało obrady nad rezolucyą od naznaczonego terminu przyjazdu pary cesarskiej. Rząd jasno dawał poznać, że w razie uchwalenia rezolucyi, przyjazd ten zostanie odwołany. Namiestnik Gołuchowski starał się swoim wpływem rezolucyę pogrzebać, a nawet wygłosił mowę tak patryotyczną, że wywołała ogólny podziw[2]). Nic to jednak nie pomogło: rezolucya została uchwaloną, — tegoż samego dnia odroczony został przyjazd pary cesarskiej do Galicyi, a w parę dni później odwołano go stanowczo.

Widzimy, jak się rozbili Stańczycy, jak nie wiedzieli co począć, bo nie byli żadnem stronnictwem, bo nie mieli żadnego politycznego programu. Wogóle z rozpraw nad rezolucyą jest jasnem, że sejm nie miał nawet zdecydowanych stronnictw politycznych. —

[1]) Trzeci ze Stańczyków, Tarnowski, siedział cicho, nie zabierał nawet głosu w sprawie mogącej decydować o całej polityce kraju.

[2]) Dla charakterystyki ówczesnych stosunków, przytaczam jeden ustęp z tej mowy: „Trudnoby było nam Polakom powiedzieć, że my żadnej łączności i nic wspólnego z współbraćmi naszymi (w zaborach pruskim i rosyjskim) mieć nie możemy i że my tylko w Galicyi zamieszkali chcemy po wszystkie czasy być uważani jako część do Austryi należąca. Byłoby to poniekąd zrzec się wszelkiego przyrostu i postawić zaporę sobie samemu wobec przyszłości, która wprawdzie zapewne nie jest tak blizka, ale o której nie wolno powiedzieć, iżby była niemożebną“. Tak wolno było mówić w r. 1868 namiestnikowi Galicyi. Czyżbyśmy do sukcesów polityki stańczykowskiej mieli zaliczyć i to, że następni namiestnicy aż do dzisiejszego nie odważyliby się słów takich wypowiedzieć? Za to przed kilku laty nie namiestnik liczący się ze słowami, ale zwykły poseł odważył się wyrzec że „Galicyan Polska nic nie obchodzi“ — co mu nie przeszkodziło potem zająć wysokie stanowisko.

Stwierdza to i p. Stanisław Tarnowski, który pisząc sprawozdanie ze sesyi sejmowej 1868 r. wyraźnie mówi, iż „w kwestyi rezolucyi wolno było głosować jak się komu podobało, bo sejm zresztą stronnictw nie posiada“. P. Tarnowski sądził, że do utworzenia silnego stronnictwa dojść by mogło w razie jakiegoś „ważnego wypadku“, ale cieszy się, iż takiego ważnego wypadku nie było, więc z rezygnacyą oświadcza: „próżna praca chcieć składać stronnictwo[3]).

Następstwem rezolucyi było nietylko odroczenie przyjazdu cesarza, ale podanie się do dymisyi Gołuchowskiego. Ten przyjazd p. Tarnowski nazywał wówczas „sukcesem polityki, jaką kraj od r. 1865 prowadził[4]), a więc stwierdzał, że polityka galicyjska miała sukces, a jak wiemy już to dobrze, do sukcesu tego nie przyłożyli się w niczem późniejsi stańczycy, owszem 2 marca 1867 r. przeciw trwaniu na drodze kompromisowej występowali z opozycyą. Przegląd polski w artykule politycznym pióra Powidaja, ubolewał nad ustąpieniem Gołuchowskiego, przyznając, iż „przez dwa lata rządów, nie słyszał hr. Gołuchowski żadnego pochlebstwa“. I nic dziwnego, bo jak także wiemy, Gołuchowski nie cieszył się względami przyszłych stańczyków i odpłacał im się całkowitą wzajemnością. A przecież ten Gołuchowski był z Ziemiałkowskim twórcą polityki kompromisowej! Swoją drogą Powidaj w imieniu Przeglądu polskiego wyraża wdzięczność Gołuchowskiemu za jego działalność i z trwogą ogląda się na okół, bo „nie widzi, ktoby go mógł zastąpić[5])“. Nie przeszkadza to Przeglądowi chwalić rezolucyi, którą Czas (trzeba mu to przyznać) konsekwentnie od samego początku potępiał, a co też widać wpłynęło na p. Tarnowskiego, bo zaraz w następnym numerze Przeglądu bardzo dwuznacznie wyraża się o rezolucyi. Wszystko to dowodzi, (a głosowanie Szujskiego przedewszystkiem), jak dzielnie było zorganizowane grono krakowskie, z jak nie-

[3]) St. Tarnowski w artykule: „O sesyi sejmowej“ Przegląd polski 1868, zeszyt listopadowy, str. 318.

[4]) Tamże str. 388.

[5]) Przegląd polski z października 1868 roku, str. 171.

---

zawodzie: żadna z nich, dotychczas ubijanych nie wymknęła się i nie uleciała bezkarnie, tak ją długo, namiętnie, wprost zapamiętale dławił.

Widząc to, a raczej odgadując, wbiega p. Marcysia do pokoju dziewcząt, porywa chorą Lolą za rękę, wlecze ją gwałtownie do bawialni i woła:

— Chódz, chódz prędko, twój Dyniecki przyszedł, chce się z tobą natychmiast widzieć.

Roztwiera drzwi gwałtownie i wtrącając pasierbicę do wnętrza, krzyczy:

— Oto masz Dynieckiego!...

Lola przysłoniła podsiniałe oczy i osunęła się cichutko na ziemię. Równocześnie Dyniecki i Anulka odskoczyli, jak gdyby między nich ogień rzucono.

. . . .

Anulka wybiegła z bawialni jak oszalała, nie zważając na wycofującego się wśród sztywnego ukłonu Dynieckiego, ani na omdlałą Lolę; niewysłowiony wstyd, żal, rozpacz, owładnęły nią, ścisnęły za gardło i wyganiały gdzieś za oczy, na koniec świata.

Wybiegła na ogród. A że tu jasno było i wszystkie bezlistne szkielety drzew, zdawały się spoglądać na nią z szyderstwem i potępieniem, więc bez namysłu wpadła do pokoju brata i tu skryła rozwichrzoną główkę, w pościel jego łoża.

Tak ją też zastał w chwilę później Franciszek, który przypadkowo zaglądnął do pokoju.

— Ej, Anulka! a tobie co?

Anulka teraz dopiero oprzytomniała. Zarzuciwszy bratu ramiona na szyję, urywkami i wśród łkania, opowiedziała mu wszystko jak było, szczerze i po prostu, jakby przed księdzem na spowiedzi.

A on zmarszczywszy silnie brwi, zdawał się słuchać spokojnie i uważnie, sądząc swym jasno patrzącym na czyny ludzkie umysłem, ile w tem wszystkiem winy siostry, a ile wyrządzonej dziewczęciu krzywdy. Nie gniewał się i nie przerywał. Wszak ona była jeszcze taka mała, taka uczciwa, taka niewinna, że choćby nawet stokroć więcej zbłądziła, jeszcze i wtedy byłaby czystą. Więc pocóż gnębić ją do reszty wyrzutami, skoro i tak zachodzi się od wielkiego żalu i wstydu.

To też nim jeszcze siostra skończyła opowiadać, Franciszek wyrozumiał już wszystko i powziął myśl co dalej czynić należy.

— Ty tu Anulko dłużej już nie zostaniesz — rzekł wreszcie. — Ani godziny dłużej. Dość nam obojgu hańby i smutku. — Nie płacz i nie rozmyślaj o tem więcej. Nic się złego nie stało. Ja teraz idę, a ty siedź tu spokojnie i nie wychódź nigdzie. Dziś jeszcze umieszczę cię gdzieś u innych ludzi, abyś nie biedowała. Pójdę do Szelągów.

Jak rzekł, tak zrobił. Nim jednak doszedł na drugą stronę miasta, gdzie było mieszkanie Szelągów, zawrócił na rynek.

Tam ujrzał Dynieckiego. Że go w tem miejscu obaczy, był prawie pewny i w tym też celu szedł, aby go spotkać. Piękny panicz przechadzał się po rynku jak zwykle o tej godzinie, wywijając wesoło laseczką. Wysoki, dorodny, szedł dumnie i swobodnie, pogwizdując jakąś piosenkę. Na trzy kroki dopiero, zauważył przed sobą Smolarza i zdawać się mogło, że od razu zmalał. Przeląkł się widocznie dzikiego wyrazu twarzy osmolonego siłacza, jego wydłużonych, obwisłych ramion i oczu gorejących niezwykłym ogniem.

Dyniecki chciał zawrócić co prędzej, lecz już nie zdążył. W tej samej bowiem chwili, silna pięść Smolarza, co wielkim młotem władała niby gęsiem piórem, opisawszy w powietrzu szeroki łuk, ubiła muchę na jego dorodnej twarzy.

A Smolarz umiał ręką kierować i trafiał dobrze tam, gdzie uderzyć chciał: tym razem zaś odwzajemnił się za wszystkich: za siostrę i narzeczoną, za siebie i za własne szczęście.

Dyniecki zatoczył się i upadł na czworaki pod mur kamienicy, cylinder zaś i laseczka odskoczyły na środek ulicy.

Tymczasem Smolarz, spełniwszy co należało, odwrócił się najspokojniej w świecie i nie oglądając się wstecz, poszedł do Szelągów prosić o przytułek dla siostry.

Dynieckiego, zbroczonego krwią, odwieziono do domu.

VI.

Pogodny dzień zabłysnął nad Kołczanowem i przyniósł naszemu bohaterowi wielką w sercu ulgę.

Oto właśnie oddał siostrę do Szelągów, „koło szczęścia“ skończył, pożegnał się z kolegami w pracowni, a teraz co prędzej u-

złomną konsekwencyą prowadziło swoją politykę.

Do charakterystyki tej konsekwencyi, znajdujemy przyczynek w samej Tece Stańczyka. W liście Brutusika (bodaj czy pod tą nazwą nie miano na myśli pana Alfreda Szczepańskiego) była charakterystyka krakowskiego dziennikarstwa. Brutusik chwalił „Całość“ (wychodzący wówczas w Krakowie Kraj), ale te pochwały dla Kraju były naturalnie satyrą, bo dowodziły, że pismo to samo nie wie, jakiej się trzyma polityki. Jeżeli „Wieczność“ (Czas) — pisał Brutusik — upadnie, my z „Całością“ „pozostaniemy jedynymi panami pola bitwy“, bo i któż, pytał się Brutusik, „śmiałby go nam jeszcze zaprzeczać — przecież nie ten biedny „Lustrator galicyjski“ (Przegląd polski). W tem miejscu autorowie Teki Stańczyka podają autokrytykę Przeglądu i charakteryzują działalność trzech jego redaktorów. Leżała w tem chęć okazania bezstronności, a szczytem jej miała być charakterystyka redaktorów, pisana przez nich samych, jak to stwierdzają słowa: „ten wizerunek satyryczny Szujskiego pisany przez niego samego“, umieszczone w przypisku do przedruku Teki Stańczyka w dziełach Szujskiego[6]). Posłuchajmy więc, jakie wady dostrzegali sami Stańczycy w swoim Przeglądzie-Lustratorze. Mówią naprzód przez usta Brutusika, że ma on „mało sprytu, mniej energii, a najmniej pieniędzy i abonentów“. „Trudno zrozumieć, czyim właściwie i czego organem jest Lustrator. Przed trzema laty był zapalonym i wymownym federalistą, odrzekał się centralnego parlamentu w Chaopolis (w Wiedniu) wszystkich spraw jego i wszystkiej pychy jego. Później znalazł, że mądra polityka liczyć się musi z faktem dokonanym, zasadę swoją postawił na ołtarzu i zasłonił, żeby spokojnie swoich czasów czekała, a sam wysłał delegata swojego (Tarnowskiego) właśnie do tego samego parlamentu. Później obstawał za rezolucyą Tygrysowskiego sejmiku (sejmu lwowskiego), jeszcze później przekonał się, że mu z nią niewygodnie i gotów był wchodzić w kompromis[7])“. Słowem młody Lustrator „ma chód nieregularny jak królik... Dalibóg nie wiem jeszcze dziś po trzech latach, co on reprezentuje... Prawda, że przy wyjściu swojem nie zakładał sobie bezpośredniej akcyi politycznej za zadanie i o złożeniu żadnego stronnictwa nie myślał“. Poprostu „Przegląd chciał zostać polską Revue des deux Mondes“. Następują pochwały Brutusika dla niektórych artykułów w Przeglądzie, pisanych z talentem albo dowcipem, ale to są „rari nantes“ w oceanie mierności lub nudy. Jak politycznie jest chwiejnym, tak pod względem redakcyjnym Przegląd odznacza się lenistwem i niedołężnością. Tu następuje szereg zarzutów: o stosunkach węgierskich nic w Przeglądzie nie było, nie ma żadnych wiadomości z Warszawy, Litwy i Wołynia, choć Przegląd chwali Roczniki polskie (paryzkie — artykuł p. Tarnowskiego), że o wszystkiem wiedziały. „Kronika polityczna idzie w lewo, artykuł sytuacyjny (jeżeli się czasem trafi) w prawo, z obydwoma nie zgadza się dążność krytyki literackiej“, w historycznych pracach chaos odmiennych pojęć. „Ktoś złośliwy powiedział, że Lustrator to jest drewniany konik, na którym panicze wjeżdżają do izby sejmowej!.. Możnaby napisać o tem piśmie i jego redakcyi coś na kształt księgi rodzaju, że Doliwczyk (Tarnowski) zrodził Lustratora a Lustrator zrodził Doliwczyka“. Następuje charakterystyka Tarnowskiego, w której między innemi jest powiedziane, iż jest „przebiegły i ostrożny“, że „tło swoich przekonań starannie ukrywa“, że legitymistki proszą Boga, „aby rychło się nawrócił do zdrowych zasad“. Idą dalej pochwały i nagany, ale tyczące się już tylko literackiej strony działalności Tarnowskiego. Następuje charakterystyka Forkadzika-Koźmiana. Przeglądy miesięczne pisze „na kolanie“, jest w formie „niepoprawny, zaniedbany“; — „mówią, że są tam myśli, być może — zauważę jednak, że myśli mieć może każdy rozumny człowiek, ale że one jeszcze nie stanowią publicysty; nadanie właściwej i odpowiedniej formy myślom, oto zadanie i warunek niezbędny, aby być publicystą. Forkadzik jest poprostu leniwy, niezdolny do codziennej, wytrwałej pracy[8])“. Należał do redakcyi „Wieczności“ (Czasu, ale nie wytrwał. „Chciał, żeby mu wszystko łatwo przychodziło i żeby do wszystkiego łatwo doszedł, a wtedy może się poświęci dla kraju... Forkadzik jest jednym z tych pisarzy, którzy z wielkiem upodobaniem uderzają na nasze wady narodowe, a nie znam nikogo, któryby ich miał więcej niż on“. Później jest mowa o tem, że chociaż Forkadzik nic dotąd nie zrobił, ma jednak cichą reklamę, której zawdzięcza dobre mniemanie, jakie mają o nim ludzie. W tem miejscu przychodzi ustęp tak świetnie charakteryzujący dawniejszego (a zdaje mi się, że i dzisiejszego) pana Koźmiana, że nie mogę się wstrzymać od przytoczenia go w całości:

„O ile mnie uczy moje już dość dawne doświadczenie, jest on w tym punkcie, że gotów przesadzić i trzeźwością i rozsądkiem. A jednak tenże sam Forkadzik dał się porwać ogólnemu szałowi w 18 3 r. i skutek pokazał, że wtedy ani trzeźwo, ani rozsądnie nie zapatrywał się na położenie[9]. A dziś pomimo całej jego trzeźwości, czy nie czujesz w nim tej mimowolnej chęci nienarażenia sobie jednych, nie zerwania z drugimi? Słyszałem, jak ktoś do niego dowcipnie powiedział: Mój ty nasz Forkardziku! ty masz to — nie wiem — szczęście, czy nieszczęście, że należysz do jednych i do drugich, i że kiedy jedni nienawidzą cię, drudzy cię nie lubią. A wiesz co on na to odpowiedział? Nic! uśmiechnął się tylko z

[6]) Że szło rzeczywiście o to, aby okazać bezstronność i że autokrytyka Przeglądu była pisana całkiem seryo, świadczy p. Tarnowski, który w siedm lat później pisał, że „na tę bezstronność nie każde pismo byłoby się zdobyło“, bo autor(?) Teki „powiedział Przeglądowi samemu rzeczy przykre“. Tarnowski: Studya polityczne, tom I, str. 16.

[7]) Aluzya do artykułów Koźmiana przeciw trzymaniu się rezolucyi dosłownie i dogmatycznie. (Przypisek wydawców dzieł Szujskiego).

[8]) Jak p. Koźmian „zbywał“ swoje obowiązki „polityka w Przeglądzie, widzimy najlepiej przeglądając jego roczniki. Są „przeglądy polityczne“ po trzy, dwie, a nawet półtorej kartki. A Przegląd był niby pismem politycznem! Często zastępują Koźmiana: Powidaj i Lisicki.

[9]) Cóż na to p. Koźmian, który dowodzi w I tomie *Rzeczy*, że był bardzo mądrym w r. 1863.

---

mieszcza rzeczy w kuferku, układając wszystko uważnie, roztropnie, aby się w drodze nie zniszczyło, i w ten sposób gotuje się do drogi.

Za dwie godziny odjeżdża.

Słońce jasno świeci i grzeje, na dworze przewiewa już wietrzyk wiosenny, a Rudy buczy wesoło; dziś więc właśnie odpowiednia pora wybrać się na wędrówkę po świecie.... Z chwilą gdy zemścił się na Dynieckim, opuściła go już zatwardziałość i zimna rezygnacya: teraz zbierając się i ciesząc po trosze wyjazdem, mimowoli powraca myślą do najmilszych chwil w życiu, spędzonych pod dachem Borajskiego.

Stary Borajski przyszedł do pokoiku z rulonikiem pieniędzy w garści.

— Oto przynoszę panu, pańską należytość — rzekł. — Nie wiele tego, ale na początek wystarczy.

— Dziękuję.

— Masz pan także list do Walczaka w Pradze. Pracowaliśmy za młodu razem w terminie, więc powinien przypomnieć sobie starego druha Borajskiego. Dobry to człowiek, on przyjmie pana chętnie.

— Dziękuję.

— W drodze uważaj pan przedewszystkiem, żeby pana nie obdarli. Pieniądze najlepiej zaszyć do kamizelki, bo po tych kolejach niebezpiecznie. Przysiądzie się nieraz do człowieka jakiś taki porządny mężczyzna, myślałbyś kupiec, albo pan kamieniczny — tymczasem to panie prosty złodziej. Tak ci wsunie zgrabnie rękę do kieszeni, że nawet nie spostrzeżesz, kiedy jesteś bez grosza. A tymczasem jego już nie ma: poszedł, oho!... kamień w wodę.

Stary opowiada różne historye ze swojej włóczęgi po świecie, ale nie bardzo klei mu się opowiadanie. Naraz, ni ztąd ni z owąd, przechodzi w serdeczniejszy ton i rzecze:

— Cóż to ja jeszcze miałem mówić.... Panie Smolarz, czego nam pan robisz taką krzywdę?

— Jaką, panie Borajski.

— A, no: rozeszliście się z Lolą, toście się rozeszli: widocznie nie było wam przeznaczone, ale dlaczego zabrałeś pan od nas siostrę? Tyle lat dziewczyna była u nas, że nawet nie wiem, jak dziś bez niej żyć nam przyjdzie. Może ja was skrzywdziłem, co? Jeżeli tak jest, to powiedzcie, a będę się starał złe naprawić.

Słowa te wzruszyły do głębi Smolarza, odparł jednak spokojnie i stanowczo:

— Nie, panie Borajski, krzywdy tu nie ma żadnej, ale siostrę musiałem zabrać.... no cóż.... musiałem i koniec.

— Ha, jak musiałeś pan, to widocznie musiałeś. Nic już ja na to nie poradzę. Więc bywaj mi zdrów, kochany panie Franciszku.... Niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi i pomaga w każdej potrzebie, ja ci z całej duszy błogosławię na drogę. A gdyby ci jednak mój chłopcze, źle szło kiedy w życiu, to nie zapominaj, że jest na świecie stary Borajski, u którego zawsze znajdziesz ciepły kąt, zdrowy posiłek i zatrudnienie. Bądź zdrów.

Otarł łzę dłonią i pocałował Smolarza w czoło — ten zaś mocno wzruszony, przykląkł i ścisnął go za kolana.

Koniec tej serdecznej scenie położył Łasiecki, który przyszedł również pożegnać przyjaciela i odprowadzić go na kolej. Po wyjściu Borajskiego, wesoły chłopak opowiedział z humorem Franciszkowi o ucieczce z miasta Dynieckiego, który na drugi dzień po wypadku na rynku, odjechał z podwiązaną brodą pospiesznym pociągiem do Krakowa.

— Pożegnałeś się już z Borajską? — zagadnął skończywszy opowiadanie.

— Nie i wcale żegnać się z nią nie myślę — odparł Smolarz hardo.

— A z Lolą.

— Z tą także nie.

Z nią przecież wypada. Musi jej być przykro. Zawiodła się na tamtym, a ciebie straciła.

Smolarz potrząsł smutnie głową.

— Nic na to nie poradzę.

Wzmianka o Loli rozrzewniła go znowu.

(Dokończenie nastąpi).

zadowoleniem, kiwnął głową i odszedł. I to go najlepiej charakteryzuje. Ja w nim widzę po prostu sceptyka w sądzie i zdaniu o wszystkiem. Ma on swoje zdanie, ale przekonania nie ma. Koniec końcem wszystko mu jest jedno i myśli, że czy tak, czy siak, to ostatecznie na jedno wyjdzie. Przyznaj, że to nie są potrzebne warunki dla publicysty lub politycznego człowieka. Będzie ci on z równą krwią bronił władzy świeckiej papieża i wyrażał się pobłażliwie o ustawach konfesyjnych w Austryi! Będzie on z równym zapałem wskazywał Bismarka i jego politykę, jako najniebezpieczniejszą dla Polski, i wynosił pod niebiosa tegoż Bismarka. Zwykle przed każdą konkluzyą cofa się, a jeżeli czasem zdobędzie się na nią, to tylko z obawy, aby go nie posądzono, że nie jest trzeźwym i rozsądnym. W ogóle obawiam się, czy nie będzie można o nim powiedzieć tego, co mówiła pewna dowcipna pani o pewnym ministrze: „Pozostał on obiecującem dzieckiem". Powiesz mi jednak, że z tych wszystkich wytkniętych przezemnie wad, może się jeszcze poprawi, a ze wtedy... daj Boże!

Jednakże ja to między bajki włożę."

„I nie obawiam się Forkadzika, który dziś staje się szermierzem zasad konserwatywnych i jawnym już wrogiem — Całości — i jej stronnictwa."

(Ciąg dalszy nastąpi).

LITERATURA I SZTUKA.

Znawstwo w malarstwie.

„Niezliczone razy zdarzyło mi się słyszeć szczere westchnienie czujących piękno, streszczające się w życzeniu: żebym to ja mógł znać się na sztukach, lub pytających gorąco: czego potrzeba, aby się na utworach plastyki poznawać?

Jedni zapytają, czy każdy może znać się na sztukach pięknych, inni, nie śmiąc marzyć o takim szczęściu w pokorze ducha, a nabożnej zazdrości, spoglądają na zbieraczów starych obrazów, jak na ideały znawców. Inni przeczytawszy kilka książek estetycznych mniemają, że w nich znaleźli najniezawodniejszy klucz do tej skarbnicy wiedzy i światła i przy jego pomocy wszelkie piękno odkryje przed nimi tajemnice swego powstania i bytu.

Zbieracze uważają się za jasnowidzących, artyści przypisują często sobie tylko możność znawstwa, są i tacy, co na przeciwnym biegunie stojąc, artystów, jako broniących własnego domu, wyłączają od sądu. Jaki zamęt!"

Do tych pierwszych, maluczkich, rzucających nieśmiałe wejrzenia ku wieżyczkom i kolumnadom gmachu sztuki przemawia w swej rozprawie*) *W. Gerson*. A przemawia przystępnie, jasno i serdecznie. Każe im unikać rzucających wielkie cienie drzew powagi i w słońcu niezależności czerpać soki żywotne. Budzi w nich poczucie jaźni artystycznej i uczy, jak pielęgnować ją i jakich składników chemicznych dodać, by pięknie urosła.

Zastanówmy się nad zbieraczami starych płócień. Czy zasługują oni na nazwę znawców? Czasami tak, częściej nie. Czarne płótno, na którem ledwie widać kawałek nosa, twarzy i jakąś błyskotkę jest dla nich Rembrandtem, ciemnożółtawa madonna, głowa starca o białej brodzie na czarnem tle, to Gwido Reni lub Caravaggio. Nędzne naśladowania i liche kopie otrzymują od nich często zaszczytny tytuł szkoły włoskiej, flamandzkiej, holenderskiej. Ależ właśnie podobny sąd dowodzi braku znawstwa zbieraczy. Pojęcie szkoły nietylko, że nie jest identycznem z myślą niewolnictwa, ale przeciwnie wyklucza je: artyści flamandcy czy włoscy o tyle zasługują na nazwę artystów, o ile posiadali cechy samoistne i oryginalne.

Zbieracz, który uniknął gromadzenia w jeden tabun mistrzów i naśladowców, mimo to może jeszcze zejść na manowce. Odrzuca bezwzględne kopiowanie, lecz pochwala nastrajanie się do tonu powag w sztuce, inną razą przenosi zewnętrzność nad wewnętrzność utworu, wykonanie nad myśl i uczucie w nim tętniące. Przyjmuje manierę w rysunku i malowidle, tak malował Beato Angelico, niech tak maluje i pan N.

Cóż powiedzieć o pseudoteoretykach, którzy piszą, nie obejrzawszy ani jednego zbioru arcydzieł, głębokie studya na podstawie cudzych zdań, rozprawiają o najzawilszych kwestyach sztuki, choć umysłu swego samodzielnemi badaniami nie rozwinęli. Są to ślepi, prawiący o barwach.

Że pominąć już „owo grono pamflecistów i paszkwilistów, którym się wydaje, jakoby samo umaczanie pióra w atramencie nadawało im prawo, obowiązek i namaszczenie do wydawania sądów o dziełach twórczości ludzkiej."

Nie, skierujmy wzrok w inną stronę, z innego rąbka horyzontu może wypłynie światło rozpraszające cień.

Opowiadanie greckie mówi o Apellesie, który wystawiwszy portret konny Aleksandra Wielkiego posłyszał jak szewc pewien wytykał błąd w obuwiu bohatera, uznał uwagę za słuszną i błąd poprawił.

Anegdota ta winna stanowić dla nas punkt wyjścia. Szewc znał formę obuwia, mógł dostrzec i ocenić wadę w jego odtworzeniu. Inny obserwator inne mógł uczynić spostrzeżenia nad tymże obrazem. Nic, jak tylko przyglądanie się baczne rzeczywistości, czyniło ich w danym wypadku zdolnymi sędziami.

Rozszerzmy pojęcia, a dojdziemy do wniosku, że ci, którzy z wrażeń życiowych, zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych, dobrze zdają sobie sprawę, mają być dobrymi znawcami dzieł sztuki.

W życiu potocznem, w zwykłych rozmowach wypowiadamy zdania będące zarodkami sądów estetycznych. Wyrażamy się o proporcyi głowy i ciała, o wyglądzie ru-

*) Znawstwo prawdziwe i rzekome w malarstwie. Warszawa 1895, nakładem autora.

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

„W jakiem ubraniu jednak myślisz mój adjutancie, przeprowadzić tę ucieczkę?"

„Rozumie się, że po cywilnemu. Pan wiesz, że mundur zdradzić by nas musiał i prędzej czy później pozbyć go się trzeba. Lepiej zatem od razu postarać się o kostyumy, tembardziej, iż nawet w razie niepomyślnej ucieczki, nie będzie nam rzeczpospolita mogła robić zarzutu roztrwonienia efektów wojskowych, czyli jak oni tu nazywają i surowo karzą *„dissipation des effets militaires"*. — Lecz kiedy pan opuszcza infirmeryę?"

„Właśnie dzisiaj dostałem nakaz zgłoszenia się jutro w kompanii — odpowiedziałem.

„To dobrze, jednak zejdźmy do kantyny; tam przy wina butelce snadniej nam będzie bliżej się porozumieć — odrzekł adjutant.

Zeszliśmy do kantyny. Ja wygłodzony sześciotygodniowym postem, wycieńczony chorobą i wracający dopiero z wolna do sił pierwotnych, wyglądałem podówczas jak mara. Znikła świeżość twarzy na zawsze, a cera ołowiana i włos siwieć poczynający znacznie starszym mnie robiły, niż byłem w rzeczywistości.

W kantynie porozumieliśmy się bliżej.

„Gdzie nabędziemy jednak rzeczy cywilnych? — zapytałem. — Wszystko co mam na sobie, od koszuli do chustki od nosa, jest własnością skarbu francuzkiego".

„To już niech mojem zostanie staraniem - odpowiedział adjutant — mam w mieście znajomości, znajdzie się żyd, który nam za pieniądze potrzebnej dostarczy garderoby, bo i ja sam prócz butów, tylko skarbowe posiadam rzeczy. Ponieważ to dzisiaj czwartek, dzień, w którym popołudniu nadejdzie oddział rekrutów, możesz pan z łatwością od kogobądź kupić sobie własne buty. Co do koszuli, to mam dwie Bojanowskiego, który swą bieliznę przed ucieczką rozdzielił między Polaków. Chętnie jedną Panu służę".

„Jak jednak — zapytałem z mej strony dalej — wydobędziemy się po za mury koszar? Panu to będzie łatwo, mając szlify adjutanta, ja bez urlopu, zwłaszcza jako chory, ani myśleć nie mogę o tem, by mnie przez odwach przy wyjściu przepuszczono. Urlopu do miasta dziś załodze nie udzielają, by wypoczęli dostatecznie ci, którzy jutro rano wyjeżdżają do Tonkinu".

„I na to jest rada — rzekł adjutant i wyjął kartę wizytową, na której słów kilka zakonotował. — Oddaj pan to pisarzowi odwachowemu, z którym się porozumiem, a puszczą Pana bez trudności. Tymczasem postaraj się pan o własne buty i bieliznę spodnią, dojdź do mnie po koszulę i przebierz się za wczasu, gdyż raz wyszedłszy z koszar, nie wrócimy do nich więcej. Ale prawda — wtrącił po chwili pauzy — zapomniałem o podziale mej gotówki, której połowę każdy jak będzie mógł najbezpieczniej przy sobie zachowa. Mam jeszcze przeszło 750 franków, oto masz pan 375 i schowaj je dobrze, a potem zaszyjemy pod podszewkę naszego ubrania cywilnego".

Rozeszliśmy się każdy w swą stronę w zamiarze spotkania się wieczorem w hotelu du Progrès. Ponieważ dnia tego już spać mi wypadało w mej kompanii, poszedłem zobaczyć, gdzie moi bliźsi sąsiedzi z szeregu. Odszukawszy kwatery mej sekcyi, począłem wynosić wszystkie manatki wojskowe z infirmeryi do właściwych koszar. Starszym izby, gdzie ulokować się postanowiłem, był Węgier Ullmann, niezawodnie żydowskiego pochodzenia, chłopak sympatyczny, dobrze wychowany i miły towarzysz.

Tak powynosiwszy wszystko, udałem się do nowo przybyłych z Europy legionistów, by zakupić buty, i bez trudności nabyłem jednę parę. Przebrałem się natychmiast w nowe obuwie, zmieniłem koszulę skarbową na własną, którą mi dostarczył adjutant, i odczekiwałem 9 godziny, by wynieść się na miasto. Przed Ullmannem nie taiłem się bynajmniej ze swemi zamiarami.

„Wiesz Pan, że dziś ostatni raz jestem

chu, o pięknie linii. Ten ruch jest niezgrabnym, owa postać wysmukłą, tamte rysy są nieregularne. Starajmy się baczniej podpatrywać rzeczywistość, zgłębiajmy wzrokiem cielesnym i duchowym przyrodę, usiłujmy z wrażeń otrzymanych zdawać sobie dobrze sprawę. W ten sposób zdobędziemy znawstwo.

Bo cóż obraz oddaje, jeśli nie rzeczywistość? Igra w nim słońce na łączce kwiecistej, szczebioce ptactwo leśne, padają strugi jesiennego deszczu. Wznosi się kościół, dom, zamek, kroczy pochód weselny, orszak pogrzebowy, tłum żniwiarzy śpiewających. Przesuwają się postacie piękne i szpetne, wcielenia orła i gadu, lilii polnej i zielska. Bije z niego smutek nadziei zawiedzionych i ciosów nagłych, radość promienna i melancholia smętna. Przeciąga przez malowidła to, co przez życie ludzkie: płomień porywu, błysk wesela, dzwon pogrzebowy, jęk żałości. Noc i dzień bytu człowieczego, a czy nie wszystkich nas ogarniały cienie i światła, doli i myśli?

Chciejmy czuć, odczuwać, spostrzegać! w naszym umyśle, w naszem uczuciu i doświadczeniu, szukajmy punktu oparcia w sądach o rzeczach tak zwanego kryteryum, miary poznawania się na tworach sztuki.

Jak wielki artysta z duszy swej, z tego co czuł i widział, dobywa barwy wyrazy, postacie, tak ten tylko, który w duszę swą, jak w siatkę motyle, chwytał skwapliwie, co przebył, co przeżył i obejrzał, może go zrozumieć. W tym kierunku rozwijajmy się. Czemuż, jak mówi Leonardo de Vinci, mogąc być synami przyrody, mielibyśmy się stawać przemocą jej wnukami? Odczujemy wtedy i zrozumiemy geniuszów przeszłości i w pracowniach współczesnych oczu nam zasłaniać nie będą powłoki.

Szukajmy prawdy i życia w sztuce, prawdy i życia, jakie czujemy w sobie. A jeśli pragniemy rozszerzyć i podnieść etyczne usposobienie nasze, baczniej śledźmy za zaletami w dziełach sztuki, niż za wadami. Gdyż szukaniem piękna rozwijamy i podnosimy poziom uczuć naszych, a z nimi i poglądy. Stajemy się wówczas podobnymi nie do kreta, co w ciasnej i ciemnej norze swojej dostrzega tylko brudne robactwo, z którego się żywi, ale do ptactwa niebieskiego, pojącego z podobłocznych wyżyn oko urokiem szerszych widnokręgów.

Taki jest bieg myśli w broszurze pana Gersona, myśli zdrowych i pięknych. Zasługują one na szczere uznanie i jak najszersze rozpowszechnienie.

W. Bugiel.

Tęsknota za krajem

w naszej literaturze.

ODCZYT

adw. **Bernarda Chrzanowskiego**

wygłoszony w dniu 6-go marca na sali Bazarowej w Poznaniu.

(Dokończenie.)

Pozostaje nam jeszcze przypatrzeć się emigracyi za chlebem, odmiennej od dawnej przymusowej nietylko przyczynami, ale i ludźmi, których z ojczystej ziemi na obczyznę prowadzi. Brak inteligencyi między emigrantami, nie branie udziału w życiu umysłowem narodu nie pozwala ich nostalgii wywierać wpływu na naszą literaturę. Nieprawda to bowiem, aby tam powodu do nostalgii nie było, ponieważ to wygnanie dobrowolne; nie zawsze tak bywa; często troska o chleb zmusza te tłumy do wędrówki a nędza, zjawiając się nieraz na obczyźnie, podnieca jeszcze tęsknotę. Trzeba nam czytać tylko Adolfa Dygasińskiego „Listy z podróży do Brazylii“, lub powieść jego na tle tej emigracyi osnutą a przedewszystkiem Sienkiewicza „Za chlebem“. Prawda jednak skądinąd, że powód do nostalgii prawie niknie, skoro te tłumy emigrantów jużto łączą się razem w takich centrach polskości, jak niektóre z miast Zjednoczonych Stanów, już też osiadają jako koloniści w takich olbrzymich szmatach ziemi jak w brazylijskim stanie Parana. Miasteczka wyglądają tam w dnie targowe tak jak nasze w Poznańskiem lub w Galicyi; po polach i przy drogach stoją krzyże, a z pni drzew olbrzymich patrzy na przechodniów Matka Częstochowska. Odsyłam do opisów podróży Dunikowskiego po Stanach Zjednoczonych i podróży Ant. Hempla po Brazylii. W takiej nowej ojczyźnie tęsknota tylko słabem może budzić się echem.

Emigracya za chlebem na Wschód, do dalekich gubernii rossyjskich, do Azyi zapisała się w literaturze opowiadaniem „Po szczęście“ Zacharyasza Ćwirko, może artystycznie słabszem, lecz co do wrażenia, jakie sprawia przedstawieniem cierpień tej emigracyi, bardzo silnem.

Wymieniłem już nazwisko Sienkiewicza. Jest on dla naszej tezy bardzo pożądanym, bo dowodzi sam jeden wielkiego znaczenia nostalgii u nas. Chociaż bowiem nie doznał ani wygnania przymusowego, ani nie był na emigracyi za chlebem, lecz był tylko turystą, odczuł i włożył w utwory swoje nostalgię: tęsknotę wygnańca w „Latarnika“, a tęsknotę emigranta w szkic „Za chlebem“. Wpływ nakoniec tęsknoty, jako motywu tworzenia, podniósł w krótkim szkicu „Żórawie“. Oto wędrowne żórawie, ciągnące sznurem hen nad Kalifornią, tak rozbudzają w autorze „Quo Vadis“ wspomnienie rodzinnego kraju, że rozpoczyna pisać „Szkice węglem“.

Z Sienkiewiczem dobiegamy końca. Nie będę już mówił o licznych powieściach, których treścią życie wygnańcze i tęsknota, bo może i tak już za dużo tej tęsknicy. Chodziło mi jednak o to, aby *na przykładach* wykazać jej królowanie w naszej literaturze, zwrócić uwagę na to, że nigdzie nie uzyskała takiej władzy, nie nagromadziła pod swem berłem tylu poddanych, nie napotkała takiej miłości jak u nas. A choć te słuszne bezpośrednie jej przyczyny, ogarniające niegdyś cały odłam społeczeństwa, już prawie minęły, choć zmniejszyła się liczba tych, którzyby tęsknocie podlegać byli zmuszeni, to nie chce ona i dzisiaj swych obszernych polskich dzierżaw opuścić, prześladuje nas i woła: jestem zawsze z Wami. A jeżeli nie jest mo-

---

w koszarach Sidi-bel-Abbeskich. — rzekłem do niego.

„A to, jak mam rozumieć? Przecież pana nie puścili na dobre do domu — odparł Węgier. — Legia to nie gołębnik, gdzie kto chce wlata i wylata“.

„A jednak tak jest, — mówiłem dalej — po chorobie mam tydzień jeszcze rekreacyi i użyję czasu tego, by wrócić wbrew woli rzeczypospolitej do ojczyzny. Nie mam wielkiej chęci zemrzeć tu z dala od stron rodzinnych, a to niechybnie miałoby miejsce, gdybym nie ratował się ucieczką“.

„Nie żartuj pan — odpowiedział znów „*chef-de chambre*“, — nie od dzisiaj Pan służysz w legii. Czy sądzisz, że ucieczka udać się może? Chcesz pan poprawić swe losy przez rozstrzelanie lub przynajmniej kilkoletni pobyt w nowej Kaledonii?“

„Ani jedno, ani drugie, bo mam nadzieję, że ucieczka się uda. Zaopatrzony dostatecznie w pieniądze, nie obawiam się wcale, przy odrobince ostrożności i odwagi, wpaść w ręce władz francuzkich lub Beduinów.“

Węgier się zamyślił, po chwili znów się odezwał.

„Hm! Więc tak? A zatem mam do pana maleńką prośbę: pożycz mi pan 10 franków. Pan uciekasz, — uda się panu ucieczka, o czem wątpię, to nie będzie zależało Panu na stracie tak marnej kwoty, nie uda się, o czem nie wątpię, natenczas wrócę Panu pieniądze podczas aresztu śledczego“ — i uśmiechnął się obojętnie.

Dałem mu żądaną kwotę i z niecierpliwością oczekiwałem wieczoru. Wtenczas Ullmann raz jeszcze do mnie się odzywa.

„Zostań Pan lepiej, — wkrótce będziesz podoficerem, więc czegóż Ci będzie brakło? Do Tonkinu już tak czy tak naszego oddziału nie wyślą. Tam zanosi się na spokój. Umieszczą pana gdzieś jako starszego na wygodnem detachement i przetrwa pan swe 5 lat, jak ja je przetrwać mam zamiar. Zresztą, wiesz Pan, że jestem właściwie zobowiązany denuncyować Pana. Znasz Pan przepisy, karzące szefa *de chambre* 14 dniowym aresztem, jeżeli z jego izby ktoś zbiegnie, lub na czas dłuższy oddali się bez pozwolenia? Jeżeli więc Pana nie zamelduję, to li tylko pod warunkiem, że się wyniesiesz z mej izby do jakiejbądź innej. Oto Kutufax w przyległej stancyi ma także jeszcze kilka miejsc wolnych.“

Gniewać począłem się w duchu, żem zwierzył się Węgrowi, lecz, by go nie drażnić oporem, wziąłem jak stary filozof „*omnia mea mecum*“ i powędrowałem do Greka Kutufaxa, gdzie chętnie zostałem przyjęty, naturalnie nic nie wspominając o ucieczce.

Nadeszła godzina 9. Dyżur koszarowy o tym czasie przechodzi kurytarze, a wtenczas stojący przy drzwiach otwartych szefowie izb, oddają na karteczkach imienny spis obecnych, oraz liczbę i nazwy nieobecnych żołnierzy. Musiałem więc czekać, aż zaraportowano dyżurnemu o naszej izbie. Skoro dyżur zniknął, pospieszyłem natychmiast na podwórze, by pójść na odwach i wyjednać sobie urlop na miasto. Lecz któż opisze moje zmartwienie na widok izby odwachowej, przepełnionej oficerami rozmaitych szarż. Nie było mowy o tem, by oddać kartkę Gałeckiego, a żołnierz na posterunku stojący na żaden sposób wypuścić mnie nie chciał. Latałem jak szalony od bramy do bramy, wszędzie straże z karabinami. Przytem miesiąc świecił w całej pełni. Igłę byś rozpoznał na ziemi. Przez mur wysoki przejść również nie było można. Wracam do odwachu, myśląc, że oficerowie się porozchodzili, jednak wszyscy jeszcze jak najspokojniej gwarzą i żartują. Chcę przez tylną bramę przedrapać się na szczeblach krat, atoli tam ustawiony odwach stanowczo mnie oddala. Nareszcie wziąłem się na sposób pertraktacyi z posterunkiem. Ofiaruję mu 2, 5, 10 franków, by bramę kluczem zawieszonym na szyi mi otworzył. Tłomaczę się, że w mieście na mnie czeka wesołe towarzystwo podoficerów, którym zobowiązałem się wyprawić ucztę; posterunek Alzatczyk mięknie i nareszcie, wziąwszy dziesięciofrankówkę, choć bramy kluczem nie otwiera, jednak w innej stronie podwórza patrolować zaczyna, zezwalając, bym się po kracie bramy na drugą stronę przedrapał. Pnę się do góry na żelazne gęste sztachety, jestem już na ich wierzchołku, lecz czubki ich, ostre jak sztylety, uniemożliwiają mi przełożenie nogi na zewnętrzną stronę bramy. Z ostatniem wytężeniem sił wreszcie, turniejską sztuką przerzuciłem me ciało, rękoma trzymając się sztachet, na drugą stronę. Skok fatalny się

tywem tworzenia i treścią utworu, to dodaje mu przynajmniej odrębnego kolorytu, rozdźwięcza pewnym tonem smętnym, czasem wprawdzie przez bardzo krótką chwilę tylko, lecz właśnie i to potrącenie lekkie w strunę tęsknoty jest już tem charakterystycznem *signum*, tym jak gdyby znakiem artysty, że to polski utwór. Zaraz przykład na dowód przytoczę.

Rozstrzygnięto niedawno, w końcu ubiegłego roku w Krakowie konkurs ogłoszony przez „Czas“ na nowelę. Z nowel nagrodzonych i wyszczególnionych drukowano kilka w feljetonie wymienionego pisma. W jednej z nich, w „Bibliomanie“, K. M. Górskiego, jest człowiek, zajęty chorobliwie szukaniem po bibliotekach egzemplarza poezyi nieznanego poety, z czasów Stanisławowskich, który sam jeden tylko honor ówczesnej naszej poezyi ratując, odczuł Polski upadek. W noweli takiej treści chyba na nostalgię miejsca nie ma! A jednak nawet ten biblioman ma swoją tęsknotę: wygnaniec to z Warszawy, tęskni za nią i za jej bibliotekami. „A widzisz Pan, mnie tam nie puszczą“, skarży się. — Weźmy inną nowelę „Pierwszy uczeń“. Oto Polak, urzędnik, na posadzie w głębi Rossyi, zdenerwowany tęsknotą za mową ojczystą i za dzieckiem pozostawionem w warszawskim instytucie dla głuchoniemych, spieszy po długiem niewidzeniu do tego biednego jedynego swego syna, a ten do ojca, chcącego go do piersi przycisnąć, z całym wysiłkiem głuchoniemego nagle w obcym, rossyjskim odzywa się języku. — W trzeciej noweli „Księdzu Piotrze“, niesie Kazimierz Tetmajer tęsknotę za ojczystą ziemią aż tam „... ... gdzie Bóg miłościwy i chóry anielskie“.

„Odsuń mości organisto, — mówi ksiądz Piotr krótko przed zgonem do Dzięgielewskiego — tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam ... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne i chóry anielskie, i wonie rajskie mogą być i wszelki cud, ale przecież Kłonieckich pól nie będzie, nie będzie tego zapachu z mego parafialnego ogrodu.... Ho! Ho! takiego zapachu nie będzie..... Mości Panie Dzięgielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabii i w włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu jak u mnie w Załanach dawniej a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było.“

Ten dorywczy przykład jest chyba najlepszym dowodem potęgi, jaką nostalgia dotąd u nas posiada. — I zdaje mi się, że znamieniem odrębnem naszej literatury nie jest sam patryotyzm, bo kierunek patryotyczny znajdziemy w każdej literaturze, lecz dopiero w tym patryotyzmie — nostalgia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Berlina.

Berlin, 8 kwietnia.

(Panorama Berezyny. — Skandale berlińskie.)

Fałat i Kossak wystawili na Herwartstrasse obraz, który przedstawia nam jeden z najbardziej dramatycznych momentów, jaki zna historya naszego stulecia. Dzieło to w wielkim stylu wypełniające okrągłą ścianę panoramy, pokazuje nam tragiczne zakończenie owej wielkiej epopei, która jest związaną z nazwiskiem Napoleona. W cudownej formie opisał nam Musset w *„Confession d'un enfant du siècle“* ową epokę, gdy Francya składała się z trumów lub bohaterów, gdy dzieci w kołyskach ściskały wojowniczo swe pięści, gdy ojcowie wracali do domu na kilka tygodni zbroczeni we krwi, by przycisnąć do piersi synów, przeznaczonych na kowali sławy francuzkiej w kuźni historyi. I oto nad Berezyną karta losu przewraca się i wielki gmach sławy rozsypuje się w gruzy. Napoleon wraz z resztkami swego wojska stara się przedostać na drugi brzeg rzeki, ocalić się od ścigających go i napierających na niego rosyjskich wojsk.

Panorama przedstawia trzeci dzień przeprawy o 4 po poł. Większa część wojska przeszła już szczęśliwie na drugą stronę po dwu naprędce zbudowanych mostach bez poręczy. Obecnie przechodzi most pozostała część armii i obozu, hołota nie znająca dyscypliny i porządku. Natłok jest tem większy, że z tyłu coraz dokuczliwiej dają się we znaki rosyjskie wojska. Każdy popycha naprzód lub spycha do wody tamującego drogę towarzysza w myśl zasady: *„ôte toi que je m'y mette“*. Popłoch panujący w masie rośnie ciągle, albowiem most załamuje się w kilku punktach, a rosyjskie bomby wpadają w tłum, siejąc zniszczenie. A po za tą masą ciągnie się nieskończona płachta białego śniegu; jest to jeden z tych „śniegów“, w których wykonaniu Fałat jest niezrownanym, a wyróżnia się tem tylko od innych, że przemawia do nas jakąś wielką milczącą grozą potężnego żywiołu, przed którą musiał się ugiąć wielki wódz. Miotana panicznym strachem masa rozsypuje się w nieładzie po prawym brzegu Berezyny. Masa ta składa się z różnorodnych żywiołów. Widzimy tu liwerantów i kupców, starców i kobiety, Francuzów i ruskich jeńców. Z jednego powozu wyskakuje z przerażeniem aktorka z „Comédie française“ panna Mars w chwili, gdy bomba zabija woźnicę. Nieopodal Francuzi palą z armat, by powstrzymać wroga zbliżającego się do Berezyny, a dalej na prawo, w tej części, która jest już dziełem pędzla Kossaka, rozgrywa się scena, która jest jakby punktem ciężkości, duszą całego obrazu. Bonaparte w zielonym futrze, podarowanym mu przez Aleksandra I, siedzi na bębnie i grzeje swe nogi przy ogniu, w którym na rozkaz jego żołnierze palą chorągwie, by nie wpadły w ręce nieprzyjaciela. Marszałkowie o ponurych twarzach przyglądają się temu symbolicznemu aktowi i oddają ostatnie honory ginącym sztandarom. Jak wiadomo z historyi spalenie to odbyło się o trzy dni wcześniej, lecz ta nieścisłość chronologiczna nie tylko nie została popełnioną z uszczerbkiem dla wartości obrazu, lecz jest przeciwnie uważaną przez krytyków za genialny pomysł. Sama przeprawa wojska nie spra-

---

udał: chociaż ostre czubki porozdzierały mi pas wełniany i miejscami mundur, byłem jednak na dole cały i zdrów, tylko nieco ogłuszony upadkiem z wysokości 4 metrów. Za bramą most zwodzony, pod nim fosa sucha. Upadłem w samą fosę, w następnej chwili byłem już na przeciwnej stronie. Na narożniku muru, otaczającego depot, stoi znów posterunek. I temu tak samo jak Alzatczykowi się tłomaczę. Prawdopodobieństwo zmyślonej wymówki i srebrna pięciofrankówka sprawiły, że i drugi odwach bez dłuższych inkwizycyi mnie puszcza. Po kwadransie jestem w hotelu du Progrès, gdzie z niecierpliwością oczekiwał mnie adjutant, który, by swej bytności w restauracyi publicznej tem większy dać pozór naturalności, siedział w gronie kilku towarzyszów broni, pomiędzy innemi także w towarzystwie owego pisarza odwachowego, który miał zlecenie mnie przepuścić. Mało było humoru w naszem kole. Myśl o niebezpieczeństwie tak umysł nasz gniotła, że nawet wpływ ciężkiego wina i absyntu rozweselić nas nie mógł. Absynt zresztą to zwykły trunek legionisty. Za jeden sous dostaniesz dużą szklankę tego zielonawego napoju, który rozcieńczony zwyczajną wodą nabiera koloru mętno mlecznego i tak bywa pitym. Nadużywanie tego trunku wyradza specyalną chorobę, w legii dość pospolitą, coś na kształt zatrucia krwi, którą medycy francuzcy „delirium absynthi“ zowią.

Pozostaliśmy wreszcie sami, inni podążyli do swych kwater. Tylko pisarz z nami pozostał. Zmieniliśmy następnie lokal, udając się do jednego z owych domów, gdzie rozpusta święci swoje orgie.

Lecz nie nam było marzyć o rozkosznych huryskach afrykańskiej Arabii, które ponętnemi pląsy, w przezroczystych muślinach, wśród wrzawy, hałasu, zgiełku, do taktu tamburyny narodowe zawodziły tany. Wzięliśmy osobny pokój, by oprzytomnieć z tego chaosu i jak najrychlej spać się położyć. Pozbycie się natrętnego pisarza było łatwe, bo człowiek ten, nie gnębiony żadnym skrytym zamiarem, całą swą uwagę na moslemskie skierował bajadery. Trudniej już było pozbyć się owych nęcących odalisek, które w sposób, jakiegoby im pozazdrościła „kelnerka“ niemiecka, natarczywie nas oblegały. Chcąc nie chcąc musiał Gałecki zasiąść do fortepianu i bawić je muzyką im nieznaną, mnie zaś przypadła rola tłomaczenia gospodarstwu powodów naszej niezwykłej hojności.

Ze świtem rano wyszliśmy na miasto poczynić potrzebne do ucieczki zakupna. O ile łatwem było postaranie się o rewolwery, naboje, kompasy, konserwy, o tyle niebezpiecznem przedstawiało się nabycie ubiorów cywilnych.

„Cóż sobie kupiec pomyśli? — rzekłem do Gałeckiego. — Niezawodnie, że z ulicy pierwszego lepszego przywoła żandarma“.

„Ja inaczej myślę — odparł adjutant. — Zakupiemy naprzód drobnostki obojętne, niepodejrzane, a wysondowawszy w taki sposób chęci handlarza względem nas, przejdziemy do zakupna garderoby. Zresztą żydzi w Afryce to ci sami, co u nas w Polsce, za pieniądz zdradzą, za pieniądz zachowają tajemnicę.“

Tandetnik żyd nie zawiódł położonego w nim zaufania, tylko bezczelnie wysokiemi cenami wyzyskał wyjątkową sposobność handlową. Nabyliśmy dwa przenoszone ubrania. Gałecki wybrał sobie kostyum arabski, z turbanem, burnusem, sandałami, ja ubranie hiszpańskiego kolonisty, długie pończochy, aksamitne spodnie, bluzę niebieską i kapelusz z ogromnem rondem. Obiecaliśmy po towar ten przysłać około wieczora, sami zaś udaliśmy się do odległego za miastem *„estaminet“*, by nie narażać się na spotkanie przełożonych. Estaminetów takich, czyli po naszemu gospód, pełno na każdej ulicy. Nudząc się strasznie całodziennem wyczekiwaniem, spędzaliśmy sobie czas kartami i winem. Wino algierskie, podobne do Bordeaux, bardzo tam tanie. Za 8 sous dostaniesz wyborną butelkę tego napoju, podczas gdy piwo jako wyrób importowany, jest względnie bardzo drogie, tak, że za zwykłą buteleczkę $^3/_4$ franka się płaci.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

wiałaby tak wstrząsającego wrażenia, gdyby ta mała grupa ludzi i wyraz ich twarzy nie dawały pojęcia o znaczeniu uroczystej chwili, która jest kulminacyjnym punktem całej tragedyi. A dalej ciągną się pola pokryte śniegiem: monotonię tę zakłóca krwiożercze ptactwo, spieszące na ucztę. Nieco w prawo najodważniejszy z gromady kruków rozsiada się na grzbiecie zdechłego konia, z którego co dopiero zdjęto zaprząg, dalej piecze na ogniu koninę grupa marznących Francuzów. Że Francuzi marzną widać z ich pozy, ruchów, nastawionych kołnierzy itd. I w tym obrazie Fałata podobnie jak we wszystkich innych, można określić temperaturę. Właściwie Fałat odstąpił nieco od tradycyi, według której dnia tego szalała zawierucha śnieżna nad Berezyną. Pomijając jednak trudności techniczne taka skrupulatność realistyczna byłaby stanowczo z wielką szkodą dla obrazu. Jeżeli szczegółom pedanci potrafią wiele zarzucić, to całość robi bezwarunkowo potężne i olśniewające wrażenie. Liczne epizody rozrzucone po obrazie są dobrane z taką doskonałością, iż dają pojęcie o momencie historycznym i „duchu czasu“. Prawdziwem arcydziełem jest śnieg, który pomimo swej smętnej jednostajności, stosownie do odbywających się na niem wypadków przyjmuje rozmaitą formę i odcienie. Są tam najrozmaitsze stopniowania od najjaśniejszej bieli do nieokreślonego koloru nadbrzeżnego szlamu rzecznego. Wspaniale oddziaływa również majestatyczny spokój natury, która się nie troszczy ani o bóle ani o rany, ani o jęki istot ludzkich. Ażeby dać pojęcie o wielkości płótna, dodam jeszcze, iż wynosi ono przeszło 1000 kwadr. metrów. Cała prasa jednym chórem wychwala obraz.

Berlińskie pisma lubują się w przytaczaniu paryzkich skandali przyprawiając opowieści te sensem moralnym, iż robak deprawacyi toczy organizm francuzkiego narodu. Od niejakiegoś czasu tutejsza prasa umiarkowała nieco swój moralizatorski ton ze względu na to, iż niemiecka stolica zbyt wiele zgrzeszyła w ostatnich czasach przeciwko cnocie, aby dalej zadzierać dumnie nosa do góry. Wielkie skandale dyskredytujące Berlin porodziły drobniejsze skandaliki, które prowadzą na łamach pism i na językach kumoszek płci obojga samodzielny żywot. Pisma obecnie nie mogą poprzestać na rubrykach „Hammerstein i Fritz Friedmann“ lecz muszą czytelników informować jeszcze o losach osób blizkich tym dwu siamskim braciom: pani Flory Gass, pani Friedmannowej i panny Martens. Pierwsza wydaje w Szwajcaryi utwór literacki, w którym wyświetla swój ciemny stosunek do Hammersteina. Druga swym słowiczym głosem bawiła publiczność w Reichshallenteater, a jej tragiczny los słomianej wdowy i zdradzonej małżonki wystarczył, by wprowadzić w zachwyt berlińską publiczność, która z całego swego zacnego serca wybaczyła pani „Frau Rechtsanwalt Dr. Fritz Friedmann“, iż jak przystało na cnotliwą niewiastę, nie miała zbytnio podkasanej sukni. Ponieważ codzień opowiadają coś innego o zamiarach pani adwokatowej, więc wybiorę tu tylko ostatnią pogłoskę. Pani ta zaniechała dalszych występów na scenach ogródkowych teatrzyków i innych tego rodzaju publicznych instytucyi i postanowiła reprezentować jakąś firmę na wystawie, tak iż w repertuarze wystawy będzie figurowała pani mecenasowa. Wreszcie panna Martens, „siostrzana“ dusza Friedmanna, miała przyjąć posadę kelnerki. On zaś jest obecnie dostawcą duchowego pokarmu dla Berlina; wszystkie jego powieści, drukowane niegdyś w „Kleines Journal“, dzienniku o światopoglądzie półświatkowym, jako rzeczy pouczające, rozchodzą się obecnie w tysiącach egzemplarzy; „Lokal-Anzeiger“ zaś zamieszcza od czasu do czasu budujące duszę ludzką poezye Friedmanna o Bogu, nieśmiertelności duszy, przeznaczeniu, sumieniu, cnocie, niesprawiedliwości i t. d. Friedmann chce widocznie zrehabilitować Berlin w oczach Francyi i dowieść, iż nawet szalbierze potrafią w Berlinie pisywać medytacye religijne. Należy się dowiedzieć, czy Hammerstein, brat w cierpieniu, nie zostawił w Atenach rękopisu teologicznego. Wszak od swego przyjaciela Stockera, nowoczesnego Lutra mógł wiele zapożyczyć mądrości religijnej. Nie dość tych wszystkich skandali. Radzie miejskiej Berlina zapisał milioner Blad kilkaset tysięcy marek z warunkiem, ażeby mu gród ojczysty wystawił pomnik. Pisma stwierdziły, iż zapisodawca dwa razy siedział we więzieniu za to, iż zbytnio dał wodze swej słabości ku płci pięknej. Była to brutalna natura — i to stwierdzono — która dla zaspokojenia swych chuci nie cofała się przed najwstrętniejszym środkiem gwałcenia honoru niewinnych dziewcząt, zatykając im usta złotą monetą. W myśl zasady „non olet“ Berlin przyjął pieniądze i postanowił wystawić Bladowi pomnik o całym rynsztunku emblematów: nieśmiertelności, dobroci, czystości, cnoty itd. Wzruszający napis z odpowiedniemi cytatami z Biblii i klasyków skomponuje na obstalunek, przypuszczam, Fritz Friedmann. *M.*

Tajemnice Warszawy.

Warszawa przestała już być „syrenim grodem“, „wesołą Warszawką“ i „naszem miasteczkiem“. Jeżeli jeszcze napotykamy w pismach te pieszczotliwe nazwy, zawdzięczamy to naszym reporterom, którzy nie mogli dotąd pozbyć się swego zdrobniałego żargonu. Warszawa — to ogrom. Ludność jej wzrasta szybko; za lat 15—20 sięgnie już miliona, a wtedy w rzędzie takich rojowisk, jak Londyn, Paryż, Wiedeń, Berlin, każdy ekonomista, statystyk wymieni i to „miasteczko“ słodkośpiewnych sylfów.

Kto chce wiedzieć, czem Warszawa jest obecnie, niech przejrzy studyum doktorów Tchórznickiego i Wojnicza o warszawskich kamienicach, p. t. „Mieszkania dla robotników“. Są tam zupełnie ścisłe dane, aż nadto wymownie świadczące, że nędza warszawska może iść w zawody z nędzą przedmieść olbrzymiego Londynu. Doktorzy opisują dość szczegółowo warunki sanitarne, w jakich mieszka ludność robotnicza w jednej z wielkich kamienic, położonych w dalszej dzielnicy miasta; z opisu tego można wywnioskować, jaki jest ogólny stan fizyczny i moralny uboższej ludności Warszawy.

Dom ten składa się z budynku frontowego, dwóch oficyn bocznych i dwóch poprzecznych, oraz facyat i suteren; cała ta masa mieści się na przestrzeni, liczącej około 5,000 metrów kwadratowych, wliczając w to podwórza. Wszystkie cztery piętra, parter, sutereny i facyaty przepełnione są mieszkańcami, których liczba sięga cyfry 1,235, co stanowi ludność całego miasteczka. O istniejących wygodach i porządkach wnioskować można z faktu, że w 1894 roku ośmioletnia dziewczyna wpadła do dołu odchodowego i udusiła się gazami.

Przy ankiecie okazało się, że dom ten posiada 207 oddzielnych mieszkań, z których 11 było niezajętych; są to prawie wszystkie mieszkania jednoizbowe, w których mieści się jednocześnie kuchnia. Dla charakterystyki dodamy, że wogóle w całej Warszawie jest 54 proc. lokali jednoizbowych, podczas gdy w Petersburgu tylko 24. Okien w całym domu jest 235, z tych z lufcikami zaledwie 60; pokoi więc bez wszelkiej wentylacyi jest tam aż 167.

Z liczby mieszkańców 424 należy do chrześcian, zaś 811 do żydów. Są to przeważnie wyrobnicy, handlarze uliczni i rzemieślnicy. Skupienie ludności jest *straszne* (słowa autorów), bo na jedną izbę wypada prawie po 6 osób (5,83)! Mieszkania te nie są wcale tanie, albowiem trzecia część lokali droższą jest nad 6 rubli miesięcznie; robotnik zaś nie może płacić w normalnych warunkach więcej, niż 6 rs. za mieszkanie. W cenie 4 rs. jest mieszkań 12, w cenie 5 rs. 52, w cenie 6 rs. 71. Żeby dać wyobrażenie o tych cenach, powiemy, że na jednego mieszkańca w tym domu wypada zaledwie 0,74 sążnia sześciennego powietrza, podczas gdy minimalna objętość powietrza na jednę osobę winna wynosić 1 sążeń sześcienny. W suterenach domu na jednego osobnika wypada nawet 0,54 sążnia sześcien. a na facyatach ledwie 0,33 sążnia sześciennego powietrza!

Gdy porównamy to z ceną lokali, okaże się, że jeden sążeń sześcienny powietrza w tym domu kosztuje rocznie rs. 20, kop. 24, przyczem w suterenach cena ta wynosi rs. 22, a na facyatach rs 32. Cyfry poprostu przerażające, zwłaszcza, gdy weźmiemy pod uwagę, że sutereny są zajmowane z braku tańszych pomieszczeń i że prawie wszystkie są wilgotne, a facyaty mało zabezpieczają od upału i od zimna.

Dla pocieszenia czytelników autorzy dodają, że dom ten pod wielu względami jest lepszy od innych podobnych.

Nie mniej smutne wrażenie sprawiają uwagi autorów o moralnym stanie zamieszkującego te domy proletaryatu. Brak mieszkań jednopokojowych i wygórowana ich cena zmuszają rodziny biedaków do przyjmowania sublokatorów. Jak dalece jest to szkodliwem, świadczy zdanie jednego z kapłanów, który twierdzi, że mieszkanie wspólne w jednej izbie dwóch rodzin pod żadnym pozorem nie jest pożądanem, albowiem przepełniona izba ma złe powietrze, usposabiające do nieczystych myśli i obrzydza życie. Jeśli sublokator jest kawalerem, a małżeństwo bezdzietnem, prawie zawsze wynika zgorszenie; tam zaś, gdzie są dzieci, rozpusta i kłótnie osób starszych dają dla nich jak najgorsze przykłady.

Zanim Warszawa zdobędzie się na tanie domy dla robotników, należy już teraz zapobiegać złemu. Autorzy radzą wpajać w robotników przekonanie, że dobre mieszkanie jest najgłówniejszą podstawą zdrowia i że dobro rodziny wymaga usuwania sublokatorów. Dla uniknięcia przepełnienia mieszkań, radzą przybijać na drzwiach kartkę urzędową z podpisem komisa za policyjnego i lekarza, wskazującą, ile osób może zamieszkiwać w danym lokalu.

Prawdziwym wszakże środkiem przeciwko tej nędzy byłoby założenie towarzystw budowy domów robotniczych na wzór istniejących we Francyi, Prusach, Anglii i Belgii. W tym celu autorzy odwołują się do kapitałów krajowych, drzemiących w listach zastawnych i podają plany i kosztorysy tanich domów pojedyńczych, mających w przyszłości ozdobić przedmieścia Warszawy. Koszt takiego domku dla jednej rodziny nie przekroczy 800—900 rs., dla dwóch rodzin 1,500 do 1,750 rs., dla czterech 3,000—3,500 rs.; domki te mogłyby z czasem przechodzić na własność lokatorów w drodze amortyzacyi kapitału.

Należy się autorom wdzięczność za podniesienie tej niezmiernie ważnej kwestyi. Niewielkie ich dziełko, ułożone na podstawie urzędowych danych, zawiera w sobie

tak ponury obraz nowoczesnej Warszawy, że rzuca on cień na frontową stronę wesołego, miłego „miasteczka“. Z za błyszczących sklepów, z za scen, zalanych światłem elektrycznem i za orkiestr balowych wychyla się widmo milionowego olbrzyma, w którego paszczy giną tysiące istot, goniących za zarobkiem. *St. Ht.*

Państwo swatem.

Uwagę słynnego filozofa niemieckiego, czyli raczej pruskiego, Edwarda Hartmanna, ściągnęły na siebie w ostatnich czasach — kobiety.

W świeżo wydanej książce *Tagesfragen* (Lipsk, 1896. str. 286 uczony pruski rozbiera kwestye reprezentacyi ludowej, plutokracyi, demokracyi, pojedynków, spraw kościelnych, krytyki, totalizatora, przedewszystkiem zaś mówi o kwestyi kobiecej. Jest tam parę uwag, zasługujących na poznanie.

Kwestya kobieca — mówi filozof — jest właściwie kwestyą panieństwa. W niższych sferach ludności kwestya kobieca ściśle się wiąże z kwestą robotniczą i tylko równocześnie z nią może być rozstrzygnięta. Natomiast w sferach wyższych istnieje istotna sprawa kobieca, która coraz więcej się zaostrza. W niższych klasach prawie każda pełnoletnia kobieta wychodzi za mąż, podczas gdy w wyższych zostaje mnóstwo starych panien, które nie wiedzą, co z sobą począć. Nie dość tego: nawet zupełnie młode panny, nie posiadające funduszów, wiedzą, że zostaną staremi pannami i zawczasu muszą się starać o zabezpieczenie swego losu. Czas już zaprzestać wyśmiewania starych panien — mówi autor — albowiem dziś los ten czeka mnóstwo bardzo pięknych i pociągających dziewic.

Zwiększająca się liczba starych kawalerów lub spóźnionych małżeństw w sferach inteligencyi, wpływa potężnie na upadek moralności w większych miastach, dokąd zgromadzają się przeważnie kawalerzy, znajdujący przyjemność w łatwych stosunkach z swobodnemi kobietami, przez co nie czują tęsknoty do stanu małżeńskiego. Rzecz jasna, że ogromną liczbę panien wykształconych usuwa się w ten sposób od małżeństwa, tak, iż zwiększanie liczby obywateli kraju przypada w udziale istotom niższym pod względem moralności, wychowania i stanu majątkowego. Utrudnia się w ten sposób wpływ dziedziczności szlachetniejszych pierwiastków, a liczba kobiet upadłych ustawicznie wzrasta.

Sytuacya panien wykształconych, lecz nie mających posagu, jest poprostu nie do zniesienia. Hartmann nie dziwi się wcale, że kobiety, a raczej panny usiłują wszelkiemi sposobami zabezpieczyć swą przyszłość w drodze uczciwej pracy na wszelkich polach. Panny z inteligencyi muszą mieć zarobki i dążenie takie jest całkiem humanitarne. Sprawa dojdzie do tego — przypuszcza filozof — że kobiety będą w końcu zajmowały wyższe posady pedagogiczne, nie wyłączając katedr uniwersyteckich, a nawet otrzymywać będą wyższe posady administracyjne.

Oczywiście wszędzie są kobiety, które się nie uważają za talenty, jakkolwiek na jeden prawdziwy talent wypada sto fałszywych. Lecz dźwignią w tej walce o byt pozostanie nie talent, ale nędza materyalna, wymykająca się z pod wszelkich praw i postulatów. Jeżeli zaś panny będą żyły we względnym dostatku, to je popchnie do działania nędza duchowa, albowiem będą musiały czemkolwiek zapełniać życie, pozbawione uciech małżeństwa.

Zapewne, panny, które odbiorą wychowanie specyalne, n. p. handlowe, są mniej ponętne dla mężczyzn i tracą w ich oczach swą kobiecość, ale cóż pannom z tej ich kobiecości, jeśli wiedzą, że ich za żonę nikt wziąć nie zechce, chociażby całkowity czar kobiecości zachowały? Kobiecość ma znaczenie tylko dla męża i dzieci, a gdy ich nie ma, czyż podobna wyrzucać pannom, że nie zachowują idealnej kobiecości i poszukują roboty wszędzie, gdzie znaleźć ją mogą?

Nawet przywódczynie ruchu kobiecego uznają, że taki stan rzeczy jest zły i że dawne przystosowywanie panien do życia rodzinnego było lepsze. Stało się jednak: ruchu kobiecego zatamować niepodobna; należy przygotować się do otwarcia gimnazyów filologicznych i uniwersytetów dla kobiet. Opieranie się temu ruchowi mogłoby — według filozofa pruskiego — sprowadzić jedynie złe skutki, gdyż ruch cały jest wynikiem przyczyn naturalnych. Teoretyczne gawędy nie zdadzą się tu na nic; lepsze są próby i doświadczenie.

Jako prawdziwy prusak, Hartmann znajduje wszakże radykalny sposób załatwienia tej kwestyi w państwach cywilizowanych za pomocą powszechnej w tym narodzie recepty. Państwo powinno dorosłych i przejrzałych kawalerów *zmuszać* do małżeństwa za pomocą podatku od osób nieżonatych. Podatek ten ma iść na pensye dla panien ze sfery inteligentnej, których ci opodatkowani zaniedbali poślubić. Podatek ten, obciążając dotkliwie kieszeń kawalera, skłoni go do szukania ratunku w zaślubinach; z drugiej strony, podatek nie będzie tak wielki, aby mógł wystarczyć niezamężnym kobietom, będą się więc także kwapiły do stanu małżeńskiego. Jak wiadomo, stary to koncept, przez rzymian praktykowany, do celu nie prowadzący, ale całkiem w pruskim stylu. Filozof dość pesymistycznie zapatruje się na wolne zarobkowanie kobiet wykształconych. Te wszystkie nauczycielki dyplomowane, pianistki, śpiewaczki, zarabiają w rzeczy samej mniej od przeciętnej niańki, pokojówki i kucharki; wynagrodzenie ich spadło w Niemczech do 50 fenigów na godzinę i to jeszcze los swój błogosławić muszą, gdy nawet taki zarobek dostać zdołają. W dodatku konkurencya kobiet odbiera chleb mężczyznom. Każda taka pracownia pozbawia utrzymania mężczyznę z żoną i dwojgiem dzieci. Dotyczy to zwłaszcza sfer średnio-wykształconych. Konkurencya kobiet nie wydaje się Hartmanowi zbyt straszną dla lekarzy, inżynierów, profesorów itd., bo kobiety obawiają się nudów przy studyowaniu trudnych nauk specyalnych. A więc jedyna droga wyjścia dla kobiet — zamążpójście.

W jakiż jednak sposób wychodzić za mąż bez miłości? Hartman potępia pojęcie miłości, jako pociągu fizycznego, wyidalizowanego przez stare panny i podniesionego do godności świetnego uczucia. Celem związku małżeńskiego nie jest szczęście rodziców — naucza pruski filozof — lecz dzieci i nawet wyłącznie dzieci. Wtedy małżeństwo jest dobre, gdy żona przejęta jest chęcią moralnego służenia nowej rodzinie, a nie fizyczną miłością dla męża. Jeżeli panny z lepszej sfery będą oczekiwały na małżeństwo „z miłości“, to oczywiście spotka je zawód; obecnie już 99 proc. uczciwych kobiet wychodzi za mąż bez wyższej miłości: czyż można je wszystkie piętnować nazwą sprzedajnych? Małżeństwo samo w sobie Hartmann uważa za wysokie powołanie dla kobiety, mogące jej zapełnić życie całe: najznakomitszy profesor w spódnicy byłby tylko starą panną, godną politowania.

St. Ht.

TO I OWO.

Rajfurstwo dziennikarskie.

Aleksander Świętochowski wypowiada następujące uwagi w „Prawdzie“ warszawskiej:

„Oryginalne zawiadomienie rozesłał do gazet administrator „Kuryera warszawskiego“, p. S. Lewental: „Wobec poważnych głosów duchowieństwa, zamykamy z dniem dzisiejszym rubryki doniesień osobistych oraz odnośnej korespondencyi prywatnej.“ Dwie te rubryki były rodzajem gęstych i cienistych krzaków, gdzie ludzie, „w celach sobie wiadomych“ (jak powiada skromnie „Słowo“) urządzali dla siebie tajemne schadzki. Gruchali oni tam i szeptali nieraz dość długo, a gdy ona wreszcie powiedziała *nie* bardzo miękko, a on zaprzysiągł *tak* bardzo twardo, nagle oboje niknęli ze szpalt „Kuryera“ i nawet „Słowo“ nie umiałoby objaśnić, dokąd każda para tych ptaszków odleciała. Narody wielkie uczą małe nietylko cnoty, ale i niecnoty. Tokowania w prasie nauczyli nas Francuzi, a zwłaszcza ciągle wieszany i ciągle obrywający się z szubienicy rajfur, „Figaro“ paryski. Było to objawem zupełnie naturalnym, że jak wszyscy sprzedawcy, tak i mający do zbycia swoje ciała, zwrócili się z ofertami do pisma, mającego największą liczbę czytelników, do „Kuryera warszawskiego“, który otworzył im w swych oficynach ogłoszeniowych dwie izby, oszklone szybami z matowego szkła. Gdyby do tego „domu schadzek“, jak nazwano owe izby, wsuwały się czasem nieliczne jednostki, możeby go tolerowano; ale gdy goście zaczęli napływać tłumnie, gdy on zaczął właścicielowi przynosić znaczne dochody, obrażona moralność zyskała mocną pobudkę do wystąpienia z publiczną naganą... Połóżmy pieczęć na zamkniętym domu i powiedzmy właścicielowi: chociaż nie dobrowolnie, zrobiłeś dobrze. Wyganiając wszakże z tego domu gości, nie powinniśmy „wyświecać“ wszystkich. Pozwalam sobie mniemać, że daleko bardziej pragnąłbym widzieć w małżeństwie związek czystych i prawdziwie kochających się serc, aniżeli niejeden inkwizytor moralności, który sobie lub komuś przebacza handel posagowy, tajemne haremy, błyszczącą rozpustę i tym podobne przysmaki życia; wszakże uznaję pewne wypadki, w których ludzie nie mają innej drogi znalezienia sobie męża lub żony, prócz prasy. Przed kilkunastu laty nadesłał mi do „Nowin“ tego rodzaju ogłoszenie niejaki Ludwik Dąbrowski z Temnikowa, w gubernii Tambowskiej. Był to naprzód człowiek ułomny, a następnie ubogi fotograf, któremu ani zajęcie, ani środki nie pozwalały wydalić się z miejsca, a który koniecznie chciał poślubić rodaczkę. Cóż mu pozostawało? Albo żyć w celibacie, albo w związku niepożądanym. Jednego i drugiego nie chciał, więc ogłosił podpisaną pełnem nazwiskiem propozycyę, w której niczego nie zataił, nawet swego kalectwa. Pytam panów, którzy krzyczeli wówczas i krzyczą dotąd: „sakrrrrament“ — co miałem począć? Odmówić jego żądaniu, czy też powiedzieć mu: W bieżącym karnawale będzie u nas kilka balów, a w poście kilka rautów: przyjedź pan, zwłaszcza na bal wełniany lub na raut biały, a niezawodnie wybierzesz sobie żonę. Z pewnością odpowiedziałby mi: Niech pan dobrodziej ze mnie nie kpi, bo już zbyt wiele nakpił los. I rzeczywiście, kto śmiałby zalecić spełnienie „sakramentu małżeńskiego“ w Warszawie lub Kowlu, człowiekowi ubogiemu, oddalonemu o tysiące wiorst? A przecież on chciał szczerze ożenić się według wszelkich prawideł moralności. Otóż dla takich ludzi ogłoszenia w gazetach pozostaną jedyną drogą starania się o żonę.

Jest to całkiem inna sprawa, niż wabienie się samców i samic za pośrednictwem gazet. Raz szczególnym trafem miałem sposobność zajrzeć w sekrety owego tokowiska. Zeszłego roku, przeglądając pocztę redakcyjną, w jednej z kopert znalazłem list mniej więcej takiego brzmienia: „Drogi Aniołku! Pokonawszy przeszkody, w środę przybywam do Warszawy i czekać Cię będę w cukierni ogrodu Saskiego o 7 wieczorem. Trzymaj w jednej ręce chustkę, a w drugiej swój zwykły papier z jaskółką.“ Dalej następowały marzenia dość drażliwe. Zdumiony oglądam kopertę i widzę na niej adres: *Prawda*. Co to znaczy? Kto pisze? Długo nie mogłem rozwiązać zagadki, nareszcie ktoś objaśnił mnie, że w „korespondencyi prywatnej“ „Kuryera warszawskiego“ wabi się jakaś parka, która używa godła „Prawda“. Urzędnik pocztowy, nie dostrzegłszy dopisku: *poste-restante*, wysłał list do naszej redakcyi. I właśnie tego dnia i godziny, kiedy go czytałem, ktoś daremnie upatrywał w cukierni chustki i papieru z jaskółką. Czy ten wypadek można porównywać z wypadkiem Ludwika Dąbrowskiego?

Po oświadczeniu administracyi „Kuryera“ z wielu pism rozległy się oklaski dla skruszonego grzesznika. I czy jego karciciele sądzą, że złe ziele wyrwali z korzeniem i że ono już nigdy nie zjawi się na naszym gruncie? Ośmielę się wątpić, bo jako ogrodnik wiem, co to jest perz. Wykopiesz go, wytępisz aż do ostatniego kiełka, ale gdy pewnego dnia z rozkoszą spoglądasz po czystych zagonach, dostrzegasz w kilku miejscach źdźbła zielonej trawki. Wyciągasz ją, trzyma się mocno; podważysz szpadlem, wychodzi zdrowy, ładnie zakorzeniony — perz. A jak on w ziemię, tak w obyczaje świata cywilizowanego wrosły romanse za pośrednictwem prasy, którym sprzyjają warunki ekonomiczne i po części od nich zależne, przymusowe bezmęstwo ogromnej ilości kobiet. Ponieważ zaś Warszawa, która dziś już jest wielkiem miastem, przejmuje od swych wzorów wszystko złe i dobre, więc pewnego pięknego poranku pielacze perzu zauważą, że jeden zagonek jakiegoś dzienniczka zazielenił się... korespondencyą prywatną. Proszę sobie zapamiętać tę wróżbę.

* * *

List z Brazylii.

Znany przemysłowiec polski, pan F. z Hamburga, otrzymał przed kilku dniami list od jednego z emigrantów polskich, osiadłych w *Kurytybie*, zawierający kilka ciekawych szczegółów o stosunkach brazylijskich i doli wychodźtwa naszego. Z upoważnieniem pana F. podajemy do wiadomości publicznej następujący urywek listu:

„Urzędnicy przychodzą do biur o godzinie 11, a o 1 już wychodzą: przytem zdarza się często, że nie przychodzą wcale do pracy; jednego dnia zabawiają się u znajomych lub krewnych na jakiejś uroczystości familijnej, drugiego dnia z powodu „katzenjammeru“ nie przychodzą do pracy, trzeciego dnia wypada niedziela, więc nie urzędują, czwartego republikańskie święto narodowe, piątego kościelne i tak idzie w nieskończoność... a zniecierpliwionym interesentom powtarzają z właściwą sobie flegmą stereotypowe: „spere um poco, paciencia!“ (poczekaj trochę, miej cierpliwość!)

„Więcej niż ja cierpią z powodu lenistwa urzędników tutejszych emigranci, przybywający z Europy; muszą oni czekać niekiedy po 6 i 8 miesięcy, aby im wymierzono i przydzielono grunta, obozując tymczasem w barakach. Dopóki rząd daje im żywność, co trwa przez cztery miesiące, idzie jako tako, gdyż nic nie robiąc nie doznają głodu, ale gdy zapomoga rządowa się skończy, głód poczyna emigrantom zaglądać w oczy. Zarobków na nowych koloniach nie ma żadnych, bo rząd dróg dla braku pieniędzy nie buduje, więc emigranci, chociaż im wreszcie ziemia przydzieloną zostanie, porzucają takową i rozchodzą się po miastach i miasteczkach, szukając zarobku, aby módz żyć z rodziną. W ten sposób wyrabia się proletaryat robotniczy po miastach, marnieje wielu ludzi....

„Z obecnych rządów republikańskich, prócz tych, którzy dzięki nepotyzmowi bez żadnych kwalifikacyi dostali się na różne urzędy i pobierają wysokie pensye, nikt nie jest zadowolony i kto wie, czy i kiedy nastąpi polepszenie stosunków. Przeciwna obecnemu rządowi partya federalistów, która wywołała była w swoim czasie rewolucyę, składa się z ludzi wcale nie lepszych, a bodaj czy nie gorszych. Pokazali w rewolucyi co umieją... włosy na głowie stają, gdy się słucha opowiadań naocznych świadków o czynach bohaterskich tych jegomościów.

„Zagranica widocznie dobrze jest poinformowaną o gospodarce pp. Brazylian i nie spodziewa się na przyszłość niczego dobrego, skoro kurs pieniędzy brazylijskich doprowadziła prawie do zera. Za czasów cesarstwa notowano Cambio 27, w ostatnich zaś czasach 8 tylko, a od ośmiu dni nie mamy już żadnego kursu. Z Nowym Rokiem i tak niesłychanie wysokie cło zostało prawie podwojone, to też handel z zagranicą powoli ustaje, mnóstwo domów handlowych likwiduje — bankructwa są na porządku dziennym.

„Wyjeżdżając do Brazylii, sądziłem, że może uda się tu założyć polski dom handlowy, obecnie widzę, że to jest absolutnem niepodobieństwem. Obecnie należy tylko pracować nad zjednoczeniem Polaków, którzy żyją tu w zupełnej rozsypce i w wielkiej niezgodzie. Trudna to praca, bo ludzie przewrotni, którzy od lat kilkunastu wszystkich na swoim pasku wodzili, i teraz używają wszelkich niegodziwych środków, aby burzyć jednych przeciw drugim. Wprawdzie w gazecie swej „Polonii“ wypisują ładne frazesy o zgodzie Polaków i jedności, ale żywem słowem przeszkadzają wszystkiemu, co do jedności dąży.“

.....Towarzystwo polskie im. Tadeusza Kościuszki otrzymało tymi dniami od rządu kawał ziemi pod budowę szkoły polskiej, objętości 1936 metrów kwadratowych. Zasługa w tem wielka dr. Kłobukowskiego, który podniósł myśl założenia szkoły polskiej i osobiście prosił gubernatora o poparcie, a nie mniej i p. Saporskiego, który chodził i prosił członków zarządu gminy, aby dała grunt. Najciekawsza w tem rzecz, że Waberski, który palcem w tej sprawie nie kiwnął, sobie jedynie przypisuje wyłączną zasługę i pochwalił się z tem w „Polonii“.

Ostatecznie pozbyliśmy się już tego intruza z Towarzystwa i jest nadzieja, że Towarzystwo odtąd pomyślniej rozwijać się będzie.“

* * *

Odpowiedź „Gazecie Gdańskiej“.

Od pana Czałuta, autora publikowanych w odcinku pisma naszego „Wspomnień z legii zagranicznej“ otrzymujemy pismo następujące:

„Gazeta Gdańska“ przyniosła krytykę moich „Wspomnień z legii zagranicznej“, zarzucając mi fałszywe informacye i nadto jaskrawy koloryt. Insynuacye te odpieram stanowczo. Trudno walczyć, nie będąc na miejscu i nie mając pod ręką literatury dotyczącej tematu, z twierdzeniami pana „ekskaprala“, polemizującego ze mną w „Gazecie Gdańskiej“. Skoro jednak przeciwnik odsłoni przyłbicę anonimową, postaram się o udowodnienie mu, że mój opis „silosów“ odpowiada najzupełniej rzeczywistości. Widziałem je naocznie i odczułem dotkliwie po bitwie, którą opisałem w „Wspomnieniach“, a w której osobisty brałem udział. Bitwa ta miała miejsce w okolicach Figitu w południowo-wschodniej części Algeryi w r. 1888. Nie znam mojego przeciwnika z „Gazety Gdańskiej“, — artykuł jego przekonuje mnie jednak, że snać niedługo w Algeryi bytował, albo spał z otwartemi oczyma, co żołnierzowi chluby nie przynosi.

St. Czałut.

Na Wyłomie.

(Waśnie małżeńskie. — Ploteczki. — Rządy teatralne.)

No! proszę, — pobiło się wreszcie małżeństwo: Kuryer z Dziennikiem poznańskim. Przed kilku laty niedobrana ta para zawarła pod presyą rodzicielskiej woli konwencyonalne śluby, aby na świat wydać dziecko głuche i ślepe, któremu na chrzcie dano imię „Ugoda“. Kuryer kochał namiętnie tę córkę-kalekę, Dziennik znosił ją tylko cierpliwie, a z biegiem lat miłość i odraza rosły i potężniały. Mimo to małżeństwo przymuszane udawało przed światem niezmąconą zgodę, i chyba najbliżsi przyjaciele domu opowiadali sobie na ucho, że przy drzwiach zamkniętych nieraz cierpkie rozgrywają się sceny i mąż z żoną przy każdej okazyi tłuką sobie talerze i lampy po głowy. Lecz komedyę pozorów grano po mistrzowsku i jeszcze z okazyi jubileuszu Dziennika małżonkowie tak czule uśmiechali się do siebie, jakby w miodowych miesiącach słodkie „*Enfin seuls*“ ręce im splatało. Dziś wreszcie zrobił się skandal. Proszę tylko nie wyobrażać sobie, że jakiś straszny kataklizm wstrząsnął miastem naszem. My jesteśmy lilipucim światkiem, — wszystko tu małe i drobne, a trzaskający karmelek narobi więcej hałasu niż w Paryżu bomba Ravachola. Małżeństwo pokłóciło się publicznie, lecz nie o zasady, o córkę „Ugodę“, o klerykalizm i liberalizm, — broń boże! o takie drażliwe materye drapią się Dziennik i Kuryer tylko w czterech ścianach zakulisowych gabinetów, otwarcie zaś zagniewana para bije się o teatr i.... aktorki. Pan dr. Kantecki daje sztuczka w nos panu Dobrowolskiemu, pan Dobrowolski kąsa w łydkę p. Kanteckiego i robi się w mieście taki alarm, jakby ktoś na placu Wilhelmowskim odkrył kopalnie dyamentów. Wszystkie dzienniki zamieszczają referaty z placu wojny i wyliczając rannych i poległych sypią dowcipami aż miło, — po cukierniach wielkie debaty: A to go urządził! A to się odciął! — w domach prywatnych nowinki o kłótni małżeńskiej przy obiedzie, anegdotki o sińcach redaktorskich przy podwieczorku, najświeższe telegramy o Dobrowolskim, Kanteckim i Przybylskim przy kolacyi.

I u nas w redakcyi wre jak w kotle. Co chwila ktoś wchodzi, przykłada palec do nosa i mówi tajemniczym szeptem: „A słyszał pan redaktor...?“ Na Jowisza, Cerbera i Plutona! cóż się stało? Posłuchajcie! Kuryer puścił wiadomość, że p. Zygmunt Przybylski obejmuje teatr poznański i jako czuły małżonek dodał z przekąsem: „Chwała Bogu, bo moja baba zrujnowała scenę“. Dziennik odciął się natychmiast, że nie pan Przybylski, lecz p. dr. Kantecki dzierżyć będzie berło teatralne, albowiem Swarzędz i Ryczywół zaopiniowały, że redaktor Kuryera jest

fenomenem w krainach sztuki. Nazajutrz pobożny Kuryer puszcza nową rakietę: Pan Dobrowolski „szczypie“ aktorki, — a Dziennikowi przychodzi w sukurs Orędownik: Marsz do teatru, panie Kantecki, boś do polityki niezdatny! — Krzyk, hałas, debaty — jednem słowem cała awantura. A plotka krąży po mieście, podjudza, irytuje i kłamie tak, że „aż ściany trzeszczą.“ Jednym się zdawało, że widzieli na dworcu p. Przybylskiego, drudzy opowiadają, że rada nadzorcza pocichutku, w sekrecie przed p. Dobrowolskim, rozgląda się za nowym dyrektorem, inni wreszcie już ks. arcybiskupa wmieszali w tę sprawę i mianują „Kuryera“ patronem teatralnym. Wszyscy jednak zacierają ręce, wszyscy tęsknią za nowym dyrektorem, wszyscy gotowi powitać grzmiącą fanfarą dymisyę pana Dobrowolskiego. W całem lilipuciem plotkarstwie najświeższej daty interesuje tylko ta jednomyślność opinii, żądająca kategorycznie oczyszczenia teatru z obecnych rządów. Reforma, której się od lat dwóch konsekwentnie domagamy, zyskała sobie tysiące zwolenników i niemal całe społeczeństwo jak jeden mąż staje u bram teatralnych, wołając nowego sternika. Czy rada nadzorcza, reprezentująca od lat kilkunastu zasadę biernej tolerancyi, usłucha tych głosów rosnących w siłę z dnia na dzień, tego powiedzieć nie umiem, — zwracam jednak uwagę na to, że społeczeństwo, rozgoryczone artystyczną ruiną sceny poznańskiej nietylko pana Dobrowolskiego lecz i senat teatralny przed sąd swój powołuje.

W radzie nadzorczej zasiadają ludzie inteligentni, którzy jasno widzą całą nieudolność obecnej dyrekcyi, lecz jakiś pietyzm dla siwych włosów i politycznych zasług p. Dobrowolskiego, jakiś dominujący brak inicyatywy wiąże im ręce. Więc mimo niesmaku w duszy, mimo przekonania o niezbędnej potrzebie reformy, na krok stanowczy zdobyć się nie mogą.

A przecież krok ten uczynić należy niezwłocznie, bo stosunki teatru naszego z dnia na dzień grzęzną w coraz głębszem bagnie. Przykro mi, że człowieka, bądź co bądź zasłużonego, muszę znowu postawić przed trybunał bezwzględnej i niemiłosiernej krytyki, — wiem również, że przywiązanie do berła teatralnego tak głęboko wrosło w duszę panu Dobrowolskiemu, że każde szarpnięcie ból mu wyrządzi dotkliwy, — lecz jako dziennikarz sprawie publicznej służę przedewszystkiem i dla tego bez wahania prezentuję rachunek sumienia tym, których królestwo staje się klęską dla kraju.

Po jakich ścieżynach małomiejski polityk i sprytny spekulant wdrapał się na Parnas, tego opowiadać nie będę, — dość, że p. Dobrowolski wyzyskał chwilowe zamieszanie i naprężenie stosunków teatralnych, by przed kilkunastu laty wytargować berło dyrektorskie. Od tej chwili zaczyna się upadek sceny poznańskiej. Zrazu dzięki zdolnym reżyserom bezsiła naczelnego kierownika nie dawała się zbyt dotkliwie we znaki, — wkrótce jednak porozpędzał król na cztery wiatry wszystkich generałów wybitniejszych i otoczył się gronem ludzi, pozbawionych przymiotów artystycznych, lecz posiadających zaletę bezwzględnej uległości. Rozpoczęły się rządy iście legendowe. Chorzystki zamieniano w primadonny, statystki w bohaterki, — scena stała się amatorskim teatrem. Dyrektor pozbawiony literackiego wykształcenia i znajomości najelementarniejszych prawideł piękna doprowadził z czasem do tego, że artyści, reżyserzy, inspicienci i dekoratorzy poczęli wręcz lekceważyć publiczność. Poważny dramat stawał się nieraz farsą, a komedya cyrkiem. Wiedziano z góry, że Dziennik jest organem dyrekcyi i najmarniejszą tandetę osłoni płaszczykiem komplementu, lub maską milczenia, więc sufler był pierwszym bohaterem, a wystawa miała na czole piętno krzyczącego niedbalstwa. Wiem dobrze, że teatr poznański, dziecko ubogiego ludu, musi mieć skromną sukienkę i zapadłe policzki, lecz wiem również dobrze, że przy odrobinie gustu i umiejętnej kontroli ta biedna scena może przynajmniej stanąć na wyżynach prowincyonalnych teatrzyków Królestwa Polskiego i w łachman tulić się nie potrzebuje. Dziś jednak doszło u nas do tego, że w wędrownych towarzystwach Włocławka, Częstochowy, Kalisza i Słupcy nawet spotykamy większą staranność w reżyseryi i większą harmonię w ensemble'u niż w królestwie p. Dobrowolskiego. Tu wszystko rwie się, aktorzy chodzą nieraz po scenie jak błędni Balladyna i Wanda występuje w towarzystwie chrześciańskich krzyżów, Kościuszko zachwyca się chorałem Ujejskiego, p. Barska z warszawskiego baletu gra rolę bohaterek, tłum rycerzy markuje się jednym statystą, duchy zapadające się w ziemię tupają ze złości, a ziemia ani rusz, każdy charakteryzuje się na własną rękę i nieraz pięć łysin lub pięciu blondynów ni ztąd ni z owąd jawi się na scenie.

A na czele tej artystycznej ruiny stoi człowiek nielubiany w szerokich kołach społeczeństwa. Pan Dobrowolski jest reprezentantem wielkiej koteryi politycznej i tem samem, gdziekolwiek się zwróci, czepia się płaszcza jego antagonizm przeciwników. Tysiące stronią od teatru. Wiem dobrze, że takie przenoszenie antypatyi politycznych do przybytku sztuki jest dowodem ciasnoty umysłowej i wstrętnej małoduszności, ale licząc się z faktami i z rzeczywistym charakterem społeczeństwa naszego niepodobna pominąć milczeniem tej dwoistości redaktora i dyrektora, która powodzeniu sceny naszej gorzko się daje we znaki. A jeżeli do sylwetki naszej włączymy jeszcze beztakt właściwy obecnej dyrekcyi w stosunku do prasy i artystów, — jeżeli uwzględnimy rozgoryczenie wywołane skandalami ostatniego sezonu, to na końcu bilansu teatralnego błysnąć musi żelazne żądanie: Pan Dobrowolski powinien ustąpić, bo grzyb gotów stoczyć przybytek sztuki narodowej. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

* Konkurs dramatyczny. Redakcya „Kuryera Warszawskiego“ ogłosiła konkurs na oryginalną sztukę polską. Warunki są następnjące:

O nagrody, do konkursu przeznaczone, ubiegać się mogą tylko sztuki sceniczne, oryginalne, współczesne, obyczajowe, cały wieczór w teatrze wypełniające, zarówno dramaty, jak komedye poważne i lekkie. Sztuki historyczne i klasyczne wyklucza się.

Sztuki, nadesłane na konkurs, muszą być napisane oryginalnie; zapożyczanie motywów lub przerabianie utworów, tak własnych jak cudzych, swojskich lub zagranicznych, jest wzbronione. Wykluczają się także utwory, w części albo w całości już wydrukowane lub warunkom sceny warszawskiej nie odpowiadające.

Utwory, przeznaczone na konkurs, należy nadsyłać do redakcyi „Kuryera Warszawskiego“. Sztuki winny być nadsyłane w egzemplarzach przepisanych starannie na czysto, bezwarunkowo nie ręką autora, lecz obcem pismem, bez podpisu, z załączeniem koperty zapieczętowanej i oznaczonej tem samem, co rękopis godłem, a zawierającej nazwisko i adres autora.

Fundusz na nagrody przeznaczony wynosi **1500 rubli.**

Nagród wyznacza się dwie: pierwsza w sumie 1000 ruali, druga 500 rubli. Po za nagrodami pieniężnemi, sztuki celniejsze, kwalifikujące się do wystawienia na scenie, będą odznaczone.

W razie braku odpowiednich utworów redakcyi służy prawo nieprzyznania żadnej nagrody lub przysądzenia jednej tylko. W takim razie fundusz pozostały przeznacza się na następny konkurs.

Termin nadsyłania prac na konkurs naznacza się na dzień 1-go czerwca 1897 r. Po tym terminie mogą być przyjęte tylko takie prace, co do których będzie udowodnionem, iż najpóźniej dnia 1 czerwca 1897 roku wysłane zostały.

Sztuki na konkurs nadesłane ocenione będą przez redakcyę „Kuryera Warszawskiego“; celem obudzenia jak najszerszego ruchu i wzbogacenia repertuaru utworami scenicznemi rzetelnej wartości, autorowie dramatyczni do oceny przez redakcyę zaproszeni nie będą.

Przed wydaniem ostatecznej decyzyi przez redakcyę „Kuryera“ co do nagród, sztuki zalecone wystawione będą na scenie, a to w myśl zawartego z dyrekcyą teatrów układu w sposób następujący:

Sztuki zalecone wystawiane będą przez dyrekcyę teatrów dowolnie, bez porządku z góry powziętego, jedynie w miarę przygotowania ich dla sceny; dyrekcya przyjmuje do wystawienia najmniej 3, najwyżej zaś 5 sztuk;

każda z wybranych sztuk wystawioną będzie 5 razy, przez 5 wieczorów bezpośrednio po sobie idących; dla każdej sztuki z konkursu wyznaczone będą jedne i te same stałe dni w tygodniu;

pomiędzy pierwszem wystawieniem jednej sztuki a pierwszą reprezentacyą drugiej pozostawia się czas dwóch tygodni, niezbędnych dla artystów do wyuczenia się ról; dyrekcya teatrów jednak zastrzega sobie w razie nagłej choroby artysty, uczącego się roli lub innych nieprzewidzianych przeszkód, od dyrekcyi niezależnych, dłuższy czas do należytego przygotowania sztuki zaleconej;

z uwagi na bezimienność sztuk, których autorowie ujawnieni będą dopiero po rozstrzygnięciu konkursu, obsadzać role w sztukach, tudzież dokonywać niezbędnych dla sceny skróceń będzie dyrekcya teatru;

dyrekcya teatru może nie przyjąć do wystawienia sztuki z konkursu w razie, jeżeli wystawa tej sztuki wymagać będzie wydatków nadzwyczajnych, lub jeżeli sztuka uznaną będzie za niewłaściwą dla sceny warszawskiej;

za każdą sztukę wystawioną na scenie dyrekcya wypłaca autorowi, po rozstrzygnięciu konkursu, przyjęte dotąd honoraryum, zwykle rubli 300. Niezależnie od tego, autorowie dwóch sztuk, mających największe powodzenie kasowe w ciągu pierwszych pięciu przedstawień, otrzymają od dyrekcyi 5 procent od dochodu brutto z tychże przedstawień; sztuki, rzecz prosta, stają się własnością dyrekcyi teatrów warszawskich.

dla wszechstronnej oceny powodzenia każdej sztuki, dyrekcya teatrów będzie dostarczała redakcyom pism miejscowych codziennych ścisłe raporty o dochodach kasowych z 5 przedstawień każdej sztuki;

wypłata honoraryum autorom sztuk przez konkurs nienagrodzonych — koperty nagrodzonych przez komisyę sędziów będą otwarte — uskuteczniona będzie z chwilą, gdy nazwiska tych autorów zostaną dyrekcyi ujawnione: wobec czego po zamknięciu konkursu, redakcya „Kuryera Warszawskiego“ koperty tych autorów złoży w dyrekcyi.

Po ukończeniu przedstawień w teatrze, redakcya wyda swój wyrok ostateczny co do sztuk na konkurs nadesłanych.

Nagrody przez redakcyę wyznaczone płatne są w kasie „Kuryera Warszawskiego“ nazajutrz po ogłoszeniu wyroku.

Co do utworów nagrodzonych redakcya „Kuryera Warszawskiego“ zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do wejścia z autorami w układy o druk w feljetonie pisma lub o wydanie w książce.

* * *

* Badeni X. „Z najnowszych powieści polskich“. Przegląd powszechny. Luty. Są to krótkie oceny powieści i nowel Berenta, Abgar-Sołtana, Junoszy, Kondratowicza, Zycha, Żeromskiego, Niedźwieckiego, Sewera, Jeża i Urbanowskiej. Autor wysoko ceni talent Zycha, a wątpi o talencie Żeromskiego. Tymczasem jest to pseudonim i właściwe nazwisko jednego autora. Prawda, że zbiór wydany pod pseudonimem jest znacznie większej wartości. Niesłusznie też sądzi autor, iż Chmielowski napisał przedmowę do nowel „swego przyjaciela“ Sewera, gdyż poprostu wydawca tych nowel wyjął ustępy ze studyum Chmielowskiego o Sewerze, drukowanego dawniej w Ateneum, a obecnie w „Naszych powieściopisarzach“ (Tom II). Warte zaznaczenia potępienie ze strony ks. Badeniego „taktyki ignorowania wszystkiego, co niezaopatrzone stemplem pewnej partyi i pewnego kółka ludzi“. Oby te złote słowa chcieli wziąć do serca redaktorowie wielkich i małych organów naszych stronnictw.

* * *

* Nowe pismo. W Krakowie ukazał się pierwszy zeszyt „Krytyki“, miesięcznika społecznego, naukowego i literackiego pod redakcyą Wacława Kolbego. Program swój charakteryzuje „Krytyka“ w słowach następujących:

„Krytyka“ będzie pod względem politycznym i społecznym odzwierciadlała interesy i dążności naszego ludu roboczego.

W dziale naukowym będzie „Krytyka“ stała na poziomie nowoczesnej nauki.

W części literackiej pragnie „Krytyka“ stać się organem naszych młodych talentów literackich i tłomaczem nowszych kierunków literackich i artystycznych.

* * *

* Dziady Mickiewicza. Zasłużona firma księgarska Altenberga, która wydała już tyle wspaniale ilustrowanych arcydzieł polskich, podjęła się ilustrowanej edycyi „Dziadów“. Prześlicznych ilustracyi dostarczył zaszczytnie znany artysta-malarz Czesław Jankowski. Wyszedł już pierwszy zeszyt tego wydawnictwa, które pod względem poprawności tekstu, świetności druku i ilustracyi dotąd ma nie wiele sobie równych w dziejach wydawnictwa polskiego. Zeszyt I. zdobią dwie wielkie heliograwury, wykonane u Paullussena w Wiedniu i dwie mniejsze tekstowe ryciny, ilustrujące wybornie ważniejsze momenta tego poematu.

Wydawnictwo to wychodzi w zeszytach miesięcznych tak, że z końcem lipca znajdować się już będzie w komplecie w rękach prenumeratorów.

* * *

* Przeglądu literackiego, organu „Związku literackiego“ w Krakowie, wyszedł nr. 4 i zawiera oceny: nowości literackich przez K. Bartoszewicza, J. Tretiaka, R. Zawilińskiego, L. Glatmana, dr. A. Chmiela, dr. Z. Samolewicza, dr. A. Krzyżanowskiego, dr. ks. Fijałka, dalej bibliografię czasopism polskich, obejmującą czas od połowy lutego do połowy marca — a podzieloną na cztery główne działy (ważniejsze artykuły są omówione lub streszczone); obfity bardzo dział rzeczy polskich w literaturze obcej, wiadomości literackich, nekrologii; wreszcie streszczenie pogadanek w „Związku literackim“.

* * *

* Ogólny katalog książek polskich. Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy odezwę następującą:

Wydawnictwo „Ogólnego katalogu książek polskich“ zwraca się niniejszem do wszystkich pp. literatów i publicystów, którzy ogłosili w oddzielnych książkach lub broszurach między r. 1878—1895 jakiejkolwiek treści prace, ażeby zechcieli przesłać łaskawie dokładny spis tytułów z podaniem formatu, ilości stronnic, miejsca i roku wyjścia, nakładcy, drukarni i ceny, pod adresem: Wydawnictwo Ogólnego Katalogu Książek Polskich we Lwowie, hotel Europejski, czem niezawodnie przyczynią się do dokładności tej bibliografii.

Licząc na uskutecznienie prośby naszej pozostajemy

z uszanowaniem

Wydawnictwo Ogólnego Katalogu Książek Polskich.

* * *

* Literackie fałsze o Polsce i Polakach. Ukazała się w Lipsku nowa edycya książki Vernon Lee p. t.: *The legend of Madame Krasińska.* Pierwotnie czytaliśmy ten utwór przed pięciu laty w *The fortnightly Review.*

Piękna postać heroiny nie zyskała na oprawie angielskiej, widocznie klimat nie posłużył tej roślinie, przeniesionej na grunt obcy. A szkoda, bo temat nadawał się ku czemuś lepszemu....

Kosmopolityczne kształty Krasińskiej gorszą samych Anglików, jak to widać ze sprawozdań prasy tamtejszej.

„Prince Zaleski“ przez Shiel'a jest również dziwadłem literackiem. Książka składa się z trzech opowiadań, w których książę jest mędrcem, a raczej szlachetnym szpiegiem. Geniusz jego wyższy, niż pana Lecoq. Mieszka w stolicy, ale żyje jak pustelnik, bo mu ludzkość obrzydła. Wyszukuje przestępców, aby od posądzenia bronić niewinnych, odnajduje ukryte pieniądze, aby je oddać pokrzywdzonym.

Najzabawniejszą jest w trzeciej nowelce wycieczka przeciw medycynie, która broni życia schorzałych istot, skazanych prędzej, czy później na śmierć; p. Zaleski jest zwolennikiem skały Tarpejskiej!

Przykre wrażenie robi publikacya Karola Torresani: *Un quart d'heure de grâce.* Autor, wyższy wojskowy austryacki, nie mając pojęcia o naszem społeczeństwie, odmalował je lichą francuszczyzną. Akcya dzieje się na Podolu; Brzeżany i Tarnopol widocznie były posterunkiem, z którego zbierano wzorki. Kto zna te miejscowości, znajdzie, że trafny jest ich opis. Obraz wiejskiego proletaryatu przesadzony, ale poetyczny. Karnawał, niby zdjęty z natury, nie licuje z osnową dość tragiczną powieści, a pomysły socyalne wcale nie odpowiadają natchnieniu naszego ludu. Całość niesympatyczna, mało ma dla nas uroku.

O wiele wstrętniejszą jest powieść Postumusa *In deutscher Hand.* Rzecz dzieje się we wsi Krzebowo, naturalnie w Poznańskiem; dla kraju znajdujemy słowa tylko pogardliwe, o społeczeństwie potwarcze wymysły. Opis niechlujstwa stanowi tu żywioł humorystyczny, a cóż mówić o naszych wadach ogólnych! Rezultatem jest, że Niemcom zawdzięczamy wszystko, gdyż oni wnieśli tu... oświatę i naukę.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Dziś, w sobotę, ukaże się na scenie poznańskiej po raz pierwszy dramat Ganghofera „Na wyżyny“. Sztuka ta nastręcza artystom naszym znakomitą sposobność do wykazania zasobów talentu swojego. W głównych rolach występują najlepsze siły teatru naszego. — W najbliższy czwartek wystawi scena poznańska nader interesującą premierę. Panna Pankiewicz wybrała bowiem na swój benefis przeróbkę głośnej powieści Gabryeli Zapolskiej p. t. „Kaśka Karyatyda“. Sensacyjna ta nowość powinna teatr wypełnić po same brzegi, tembardziej, że odegraną zostanie na dochód najwybitniejszej artystki teatru naszego, która niestety Poznań opuszcza, by w przyszłym sezonie łódzką scenę ozdobić talentem swoim. — P. Ludwik Solski, dotychczasowy reżyser sceny krakowskiej, przestał pełnić te obowiązki z dniem 10 bm. — Fortepianista wileński p. Wojciech Gawroński, otrzymał od Leszetyckiego w Wiedniu jako odznaczenie znak liry z latami studyów (1894—6); młody kompozytor napisał dwie symfonie: „Antygona“ i „Samuel Zborowski“ (?), oraz muzykę do opery „Marya“, według libretta przez p. Millera, przygotowanego z poematu Antoniego Malczewskiego. — Dnia 27 marca rozstrzygnięty został konkurs, rozpisany przez galicyjski Wydział krajowy na ruskie utwory dramatyczne. Z 15 sztuk nadesłanych na ten konkurs, przyznano pierwszą nagrodę dramatowi ukraińskiego pisarza Borysa Hrinczenki „Josni zori“ (250 złr.), drugą nagrodę otrzymał ten sam Hrinczenko za komedyę p. t. „Nachmaryło“ (200 złr.), trzecią dyr. Grz. Cegliński za komedyę „Terhowla żemczahamy“ (Handel perłami) w kwocie 150 złr., a czwartą, również w kwocie 150 złr. dr. Jakób Newestiuk za komedyę „Kandydat“. Prócz tych sztuk premiowanych komisya nie poleciła żadnej sztuki do grania.

AFORYZMY.

Dzieci nieprawe są po większej części rozumne i piękne. Cóż to za krytyka wzorowego życia rodzinnego!

Elżbieta król. Rumunii.

Życzenie „niech mu ziemia lekką będzie“ należałoby raczej zasyłać nowonarodzonym, nie zaś umarłym.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Bronisław S. O ile nam wiadomo, bawi Sienkiewicz obecnie w Koszyce.

Sta. Więcej tłomaczeń tego wierszyka zamieszczać nie będziemy. Za pseudonimem „Igor“ kryje się dr. Ludwik Mizerski, autor „Syreny“ i przekładów Anakreonta.

N. N. 333. I nam wstrętnem jest apelowanie do sądów niemieckich. Rozumiemy zupełnie pańskie skrupuły, lecz w świecie dziennikarskiem znajdują się niestety takie okazy, wobec których inny rodzaj załatwienia kwestyi nie prowadzi do żadnego celu. Pojęcia ich etyczne i wyobrażenia o sprawach honorowych nie wznoszą się nad poziom przeciętnej przekupki i dla tego jesteśmy nieraz zniewoleni udać się pod opiekę policyi lub władzy sądowej. Radzimy szanownemu panu raz jeszcze przed adwokata zażądać ekspiacyi polubownej, a w razie odmowy wstąpić na drogę procesu.

Autorce dramatu „Anioł pański“. Za wiele tam Maeterlincka, za wiele Baudelaire'a, Rydla i Tetmajera. Jest to zręczny zlepek reminiscencyi, — naśladownictwo jest miejscami tak niewolnicze, że całe zdania są żywcem bez wszelkiej zmiany zapożyczone. Mimo to uderza w tej kopii sporo smaku, zdradzającego pewne zasoby talentu artystycznego.

Abiturjent. Zawód mierniczy nie przedstawia już dzisiaj takich szans materyalnego powodzenia jak dawniej. Ukazał się nawet reskrypt ministeryalny, ostrzegający młodzież przed karyerą mierniczą z powodu nadzwyczajnego przepełnienia.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28